



# PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

## Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

## Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## POGA WĘDKA.

Nie jest to tylko sezon martwy, ale i umartwiający, który przeżywamy obecnie: cała teoria cholery wykładana na pożytek ogółu, cały ten kurs sanitarno-hygieniczny usposabia człowieka, mającego żołądek nawet zdrowy i nerwy nawet dość zaszanowane, dziwnie nie reflexyjnie.

Powiada sobie taki człowiek:

— Mój Boże, nie wiem dnia, ani godziny, kiedy mnie może schwycić epidemia i kiedy narobię sobie i drugim kłopotu. Nigdy w życiu tyle uwagi nie musiałem poświęcać rozmaitym drobiazgom, co teraz. Pilnuj się, chłopie, na każdym kroku, abyś czego niezdrowego nie zjadł, albo nie wypił, abyś nie miał za pustego, ani za pełnego żołądka, noś w kieszeniach krople miętowe, eter kamforowy, opium, spraw sobie laskę dezynfekcyjną i wachaj kwas karbolowy albo dziegieć, wystrzegaj się owoców, wszelakich przysmaków w rodzaju mizeryi i ogórków kwaszonych, a jeżeli jesteś wrażliwej natury, nie czytaj nawet dzienników, szczególniejszej telegramów.

Ach, i to się nazywa rozkosznie spędzać lato?..

Uspokoilem się trochę, przeczytawszy w „Kuryerze War.“ artykuł D-ra Polaka, poparty wymownymi cyframi i datami, z których okazuje się, że zawleczenie cholery do Warszawy wymagało zawsze paru miesięcy, a nawet około roku czasu; że przy zastosowaniu pewnych środków ochronnych, sieć kolejowe i ruch komunikacyjny z okolicami nawiedzonymi epidemiją, bezwzględnie znaczenia co do szybkości przenoszenia się zarazy nie posiadają; że wreszcie zważywszy istotnie energiczne usiłowania w celu zlokalizowania choroby, a z drugiej strony zważywszy znacznie

dziś większą odporność miasta, dzięki zwłaszcza kanalizacyi i wodociągom, przyjść trzeba do wniosku, że niema jeszcze powodu do zbytnej paniki, a tem bardziej, gdy ze swej strony zarząd sanitarny miasta czyni należyte przygotowania do walki z niepożądanym gościem.

I jeszcze jeden pocieszający szczegół znalazłem w artykule Dra Polaka, mianowicie: zapewnienie, że do końca zeszłego miesiąca ani jednego wypadku cholery azjatyckiej w Warszawie przez cały ciąg bieżącego roku nie zauważono.

Zatem, jak dotychczas—wszystko w porządku. Zarządy miejskie, kolejowe, fabryczne wzięły się energicznie do zmniejszenia niebezpieczeństwa, reszta zależy od losu i od przeczności indywidualnej, która powinna pamiętać o starej maxymie: „Strzeżonego Pan Bóg strzeże.“

Gdyby nie to małe intermezzo z cholera, moglibyśmy z tegorocznego lata być wcale zadowolonymi; pogoda służy nam jako tako, deszcze nie leją, gromy nie biją, wichry nie dmą, a żniwa odbywają się w warunkach przychylnych.

Co do płonów to sami gospodarze w niektórych miejscowościach przyznają, że są niebywałe.

Zdarzają się nad Wisłą żyta, które z kopy sypią najmniej dwa korce i 25 garncy ziarna po omłocie, a dochodzą do trzech korey i garncy sześć!

Możnaby powiedzieć, że chleba w bród.

W bardzo właściwą porę zdarzył się taki urodzaj po zeszłorocznych niepowodzeniach rolnych.

Karmić zawsze znajdzie się kogo a głodnych nigdy nie zabraknie.

W tych dniach kwestya taniego żywienia ludzi w oryginalnej formie nastąpiła w Warszawie; nie chodzi o to czem, jak, za jaką cenę, ale gdzie możnaby karmić głodnych stołowników i to tak popularnej instytucyi, jak tania kuchnia Nr 2-gi, która od wielu lat mieściła się przy Krakowskim-Przedmieściu obok kościoła Ś-go Krzyża a obecnie z powodu powiększenia biur cyrkulowych od przyszłego kwartału musi odstąpić swój lokal.

Odpowiedniego pomieszczenia nie udało się do tąd znaleźć dla tej żywicieli przeważnie młodych gości ze sfery intelligeney, którzy się tu zbierali na obiady, korzystając z blizkiego sąsiedztwa tej jadłodajni z uniwersytetem i innemi zakładami naukowymi.

Okoliczność na pozór tak błaha, jak zmiana lokalu, wpłynąć gotowa na zamknięcie zupełne kuchni Nr 2-gi w tej dzielnicy miasta, w której oddawała tak pożyteczne usługi.

A niedobrzeby to się stało ze względu na dotychczasowych jej stołowników, którzy nie mają po większej części środków na to, aby się żywić po droższych restauracyach i nie mają wiele czasu, aby biegać zbyt daleko na tanie obiady.

I tak często się zdarza pod koniec miesiąca, że trzeba oddawać do lombardu zegarek na naukę cierpliwości i hebrajszczyzny, aby było za co pożywić się „do pierwszego“, zanim z lekcyi, czy z domu wpłynie znowu do kieszeni jaki nowy zasitek.

Bryznąło mi pióro przy pisaniu wyrazu „lombard“, jak gdyby splunąć chciało atramentem na instytucyę, która stała się środkiem niegodnego wyzysku ludzi ubogich, zamiast być dla nich prawdziwą pomocą.

Przed kilkoma dniami czytałem w „Kuryerze Codziennym“ bardzo ciekawy artykuł o tych „naszych lombardach prywatnych“ i o popełnianych w nich nadużyciach.

Napozór wszystko tam się odbywa legalnie, ale przy bliższem zbadaniu, wyłazi z pod tej niewinnej powłoki paskudna lichwa, która nie waha się zciągać z biedaków zmuszonych uciekać się do tak zwanych „Kas pożyczkowych“ i zastawniczych zakładów po pomoc, 28, 36, a nawet i 60% rocznie.

„Lichwiarze ci opatentowani, — powiada autor artykułu—odsetki te snąć sami uważają za wygórowane i bezwstydne, skoro jakby dla usprawiedliwienia się, gatunkują je na procent i kosztą przechowania. W ten sposób procentem nazywa się 12



lub 18 od sta, a reszta idzie na koszt przechowania, które znowu bywa uskuteczniane niżej wszelkiej krytyki. Płacisz szalone „koszt przechowania, „a odbierasz fant pomięty, wygnieciony, jak w prasie, lub zjedzony przez mole, za których gospodarkę lombard nie przyjmuje na siebie żadnej odpowiedzialności.“

Kiedy się uwzględni, że to spotyka po większej części biedaków, którzy do zastawu wynoszą zazwyczaj to tylko, co mają najlepszego, co dla nich największą wartość przedstawia, wówczas niepoceciwa działalność panów lombardników w jeszcze gorszym ujawnia się świetle.

Ale cóż na to poradzić!... ustawa robi swoje, kontrola władz swoje, mimo to wyzysk umie się prześliznąć przez każdą wolną szparkę i broi po swojemu.

Szczęśliwi ci, co nie mają nic do zastawienia, albo zastawiać nie potrzebują.

Że lombardy muszą być dobry minteressem, świadczy ich mnogość, jaka w ostatnich czasach powstała; ale że się wszystkie utrzymują i opłacają swoim przedsiębiorcom, to znowu dowód, iż coraz więcej i częściej uciekamy się do tego rodzaju kredytu, który nie jest wcale najtańszym, ale bywa przynajmniej najłatwiejszym.

Statystyka wykazuje, iż Warszawa szybkim krokiem zbliża się do okrągłego pół miliona ludności; dzisiaj ma już, 490.417 mieszkańców, pomiędzy którymi 168.232 żydów.

Na pozór wydawałoby się, że pod względem oświaty i wykształcenia ta warstwa ludności stoi najwyżej i dba najwięcej o naukę, bo oto z dalszych cyfr dowiadujemy się, że na 730 zakładów naukowych, szkół żydowskich istnieje aż 559 a na 48.435 uczni i uczennice, uczęszczających w ogóle do szkoły na młodzież żydowską przypada więcej niż połowa, bo 27.548.

Dodać trzeba wszelako, że w tej imponującej cyfrze szkół starozakonnych, mieszczą się głównie chedery.

Charakterystyczne szczegóły w sprawie warszawskiego szkolnictwa podaje korespondent „Kraju,“ *ex re* rozpoczętych zapisów szkolnych.

„Z wykazów, ogłaszanych przez zwierzchność gimnazjalną, — czytamy w tej korespondencji — widać, że niższe zwłaszcza klasy są zapełnione zupełnie i tylko parę gimnazyów przyjmować będzie kandydatów do klasy pierwszej. W klasach wyższych szeregi uczniów przerzedzają się znacznie. Dane statystyczne, jakie mieliśmy pod ręką, stwierdzają ten fakt, że stosunek uczniów kończących zakłady naukowe do rozpoczynających wykształcenie szkolne jest w Królestwie daleko niższy, aniżeli w Cesarstwie a im wyżej się posuwamy po szczeblach drabiny edukacyjnej, tem bardziej stosunek się ów pogarsza.

„Zapowiadana od lat kilku reforma polegająca na utworzeniu całego systemu szkół technicznych i rzemieślniczych, dotąd nie uczyniła ani kroku naprzód. Na zapytanie ministerium, debatowano w swoim czasie nad wyborem typu najodpowiedniejszego dla danej miejscowości, wybrano wreszcie owe typy, i na tem rzecz cała stanęła. W ustawie normalnej dla szkół tego rodzaju pozostawiono szerokie pole inicjatywie prywatnej: szkoły techniczne urządzone być mogą kosztem miast, towarzystw lub osób prywatnych. Nie słychać jednak dotąd o staraniach przedsiębiorczych w tym kierunku, chociaż wiadomo, że mogłyby one odnieść skutek pomyślny.“

Przed dziesięciu, czy kilkunastu laty, kiedy ta sprawa nie była jeszcze tak postawioną, czytałem i słyszałem o rozmaitych pięknych zamiarach, gotowości do hojnych ofiar ze strony dobrodziejów publicznych, wymieniano nawet krociowe summy jednego z naszych Nababów, przeznaczone na założenie szkoły technicznej w Warszawie; dzisiaj wszelako, kiedy byłoby coś faktycznie do zrobienia, obietniczki gdzieś się podziały, projekta znikły, sławiona hojność schowała szeroką rękę do kieszeni i odwróciła się plecami, — wszystko pozostało *in statu quo ante*.

Wspomniany powyżej korespondent mówi także o fackie nader ważnym z naszego światka dziennikarsko-literackiego.

Oto my „rycerze pióra“, zdobyliśmy się wreszcie na energią i przezorność, w imię której postano-

wiliśmy założyć dla siebie kasę zaliczkowo-oszczędnościową.

Projekt odpowiedniej ustawy został już spisany i do zatwierdzenia władzy podany.

Smok lichwiarski musiał się ugryźć w ogon ze złości, dowiedziawszy się o tem chwalebnem postanowieniu braci literackiej, która mu dotąd dostarczała sporo ofiar i męczenników na 60%.

Znam kolegów, pracujących lata całe, jak w jarzmie, a zapłatanych tak w sieć długów, że prawie uszu im nie widać; co urwą jeden łeb tej hydrze, to dwa nowe na tem miejscu wyrastają i tak nigdy nie mogą się pozbyć pisarzów, komornika, weksli, rat, terminów, co wszystko razem nie przyczynia się ani do przyjemności życia, ani do równowagi umysłu, ani do ulżenia pracy i spożywania w spokoju jej owoców.

Nie należy przypuszczać, że każdy literat siedzi po uszy w kieszeni jakiegoś wierzyciela; uroczyscie zapewniam, że są wyjątki, ale ci, co nie mają długów, zarabiając tyle, ile im potrzeba, a wydając tyle, ile zarabiają, aby zawsze jakoś koniec z sobą powiązać, — ci znowu narażeni są na smutną ewentualność, że gdy im ręka omdleje, albo głowa zwisnie bezwładnie i przez pewien czas dłuższy nie będą mogli pracować, to *nolens volens* muszą się albo zadłużyć u lichwiarzy, albo wyciągnąć rękę po pomoc do kolegów.

Jedno i drugie bardzo przykre.

Gdy zaś powstanie kassa, w której można będzie najmniejsze nawet lokować oszczędności na czarną godzinę, z której da się zaczerpnąć zaliczkę, pożyczkę, czy zapomogę, czy jak się to tam ma nazywać, wtedy choroba, a choćby śmierć nie będą się więcej tak rozpaczliwie wydawały, wtedy obejdzie się ten i ów bez lichwiarskiej pijawki, a choćby nawet był zmuszony płacić procent, jak w jakim lombardzie, to i tak uczyni to z lżejszym sercem, po będzie wiedział, iż powiększa dochody wspólnej instytucji, która wygodzi kolegom po piórze, poratuje jeszcze potrzebniejszych i wesprze jeszcze uboższych.

Dotychczas my jedni, literaci i dziennikarze, żyliśmy z konieczności z dnia na dzień i nie posiadali instytucji, która by materyalnym naszym interesom służyła.

Rzemieślnicy mają swe kassy pożyczkowe, przemysłowcy swoją kasę wkładowo-pożyczkową, muzycy kasę emerytalną, uczeni kasę Mianowskiego, artyści dramatyczni kasę pożyczkowo-oszczędnościową, nawet dziady mają Dobroczynność, a my — nie.

Kiedy się dowiedziałem, że kilku kapitalistów naszych zawiązuje spółkę przedsiębiorstwa budowy nowych domów dla robotników i w ogóle dla osób mniej zamożnych na pustych placach w okolicy ulicy Złotej, Siennej i Sosnowej, chciałem im zaproponować, czyby nie wybudowali gdzie bliżej śródmieścia jakiego bazaru literackiego, czy kosszar literackich, czy czegoś w tym rodzaju: możebyśmy pod jednym dachem żyli nie tylko oszczędnie, ale i w większej zgodzie, niż dotychczas, z obowiązkiem koleżeńskich i sąsiedzkich.

Dziwny to ten nasz światek pisarski; stanowimy niby to jedną z najbardziej intelligentnych korporacji, łączy nas jakieś pokrewieństwo duchowe, jakaś wspólna dążność i rodzaj pracy, a żyjemy zdaleka od siebie, ebodzimy każdy luzem, unikamy jeden drugiego, co najwięcej, w bliższych stosunkach wiążemy się w małe gronka, które z sobą znowu żadnej bliższej styczności nie mają.

W Niemczech, we Francji, literaci i dziennikarze różnych stronnictw, różnych obozów, spierają się i kłócą, walczą z sobą na pióra i rapiry, ale to im nie przeszkadza utrzymywać stosunków towarzyskich, spotykać się w klubach, zbierać w literackich salonach, żyć z sobą prywatnie i nawet nie jedną przyjemną chwilę spędzać razem.

U nas inaczej; unikamy się wzajemnie, nie znamy się, odwracamy jeden od drugiego, spoglądamy na siebie kosem okiem, jakby jeden drugiego pragnął w kropli atramentu utopić i nadziać na pióro, jak na szpilkę.

Ale dość o tem, bo to temat drażniący, a takich unikać należy ze względu na czasy choleryczne.

Nie powinienem może z tych samych powodów wspominać o odnowionej kwestii właściwego

miejsca urodzenia Szopena, która swego czasu tyle krwi napsuła rozmaitym ludziom, ale spróbuję bez złości, jak najłagodniej i najspokojniej pomówić o niej.

Otóż, pamiętacie zapewne, żeśmy zeszłej jesieni wyjeżdżali do Żelazowej Woli, jako delegacya Towarzystwa Muzycznego, by się przekonać w jakim stanie znajduje się domek rodzinny naszego poety muzyka. Zebraliśmy na miejscu tyle szczegółów, ile się tylko dało, i ogłosili je z obowiązku sprawozdawców; w jakiś czas dawniej właściciel Żelazowej Woli, pan Towiański rozbił w puch wszystkie informacye ogłoszeniem, że mniemany domek rodzinny Szopena nie jest tym, w którym genialny kompozytor na świat przyszedł, — że był inny dom, ale ten zgorzał już dawno, że zatem śladu jeź niema z miejsca, gdzie stała kolebka Fryderyka.

I byłoby na tem się skończyło, ale nagle w „Kuryerze Warszawskim“ zabiera głos „jedna z córek Peszla,“ dawniejszego właściciela Żelazowej Woli, przed p. Towiańskim, i zapewnia, iż ów domek do dzisiejszego dnia przechowany jest właśnie tym samym, że wie o tem, bardzo dobrze z ust swego nieboszczyka ojca, który znał hr. Skarbka, bywał u niego i słyszał niejednokrotnie o szczegółach urodzenia się Szopena.

Autorka tego listu podała nawet planik domu z pamięci i wskazała pokój, w którym światło dzienne ujrzał mały Fryduś. Dom zaś, o którym wspominał p. Towiański, zgorzał istotnie, ale... jeszcze przed urodzeniem się Szopena.

No, i cóż teraz?... wracamy do tegosamego punktu, na którym staliśmy, a tyle nam naczuchrano czupryny po naszym powrocie z Żelazowej Woli, tyle nam naćwikano w oczy, jakbyśmy Bóg wie co złego zrobili!...

Mniejsza dziś o to, byle się zabrać znowu do przerwanej sprawy uczczenia pamiątkowego miejsca po największym z muzyków i artystów naszych.

W ostatnim numerze „Echa“ znalazłem w tej kwestyi artykuł, który się kończy takimi słowy: „Uważamy za właściwe dopełnić sprawę tę tymczasową wiadomością, iż wystawienie pomnika żelaznego Szopenowi na klombie przed pomienioną oficyną znajduje się na najlepszej drodze, że modele zostały już przedstawione właściwej władzy do zatwierdzenia i że Towarzystwo Muzyczne do odlania posagu w żelazie zabierze się niezadługo. W ustawieniu pomnika na miejscu przyrzekł pomoc swą obecny właściciel Żelazowej Woli p. Alexander Pawłowski.“

Dobrze i tyle na początek.

Na zakończenie muszę wspomnieć o pięknym fakcie wystawienia i uroczystego poświęcenia zeszłej niedzieli kościołka w Otwocku, tej perle letnich osad w okolicy Warszawy.

Z każdym rokiem coraz więcej przebywa tam gości na willegiaturze, powstają nowe wille, nowe udogodnienia, nowe ozdoby; w tym roku stanął kościół, którego brak ucuwać się dawał dotychczas.

Że stanął, to jeszcze nie, ale że stanął prawie z niczego, jako zbiorowa ofiara właściciela gruntów otwockich p. Kurtza, architekta, p. Władysława Marconiego, który darmo dostarczył planów, wreszcie pocziwych rzemieślników, którzy albo darmo, albo po zniżonej cenie dali materyał i robotę — to rzecz godna uznania i pamięci.

Każdy coś ze swej strony dorzucił, każdy coś zrobił, i w ten sposób stanęła świątynka pokaźna na oko, w stylu ostrołuku ceglanego, nietynkowana, z dwoma szerokimi wejściami, przez które można będzie widzieć wnętrze, wielki ołtarz i kapłana odprawiającego nabożeństwo, zatem choćby miejsca w samym kościółku zabrakło, nie zabraknie go przed kościółkiem, pod sklepieniem nieba samego dla tych, co się modlić będą do niego.

Zrobiła się tedy rzecz dobra i piękna samą dobrą wolą; a to przecież u nas dość rzadki wypadek!...

Quis



# KRZYSZTOF KOLUMB

(Dalszy ciąg).

Przez trzy tygodnie żegluga szła pomyślnie. Po-tem zaczęło się morze burzyć, a d. 12 Lutego za-wył straszliwy orkan. Oba statki wzajemnie dla siebie zginęły. „Pintę“ porwał wieher na północ, „Nina“ pozostała na wysokości Wysp Azorskich. Zrozpaczony Kolumb pożegnał się już z życiem i w nocy z d. 14 na 15 Lutego puścił na fale sprawozdanie swoje z odkrycia, przyrzekając szczęśli-wemu znalazcy w imieniu króla i królowej Hiszpa-nii tysiąc dukatów. Ale w tej ostatecznej właśnie chwili przyszło ocalenie. Burza ustała, a d. 16-go Lutego 1492 r. ujrzała „Nina“ przed sobą ląd, który admirał wziął za ląd Wysp Kanaryjskich; były to tymczasem Azory. D. 19 przybiła wiatr lupinka do wyspy Santa Maria. Gubernator por-tugalski, Jan de Castañeda, uwięził ludzi załogi, którzy, wysiadłszy na ląd, szli przedewszystkiem do kościoła dla spełnienia ślubu danego Bogu podczas burzy: podejrzał Portugalczyk tych wpół rozbitków o przestępstwo dokonania wypra-wy na zachodnie wybrzeża Afryki, które już od r. 1454 rząd lizboński bullami papieżskimi wyłą-cznie dla siebie obwarowywał. Poznawszy przecież błąd swój, Castañeda wypuścił uwięzionych na wolność i pozwolił „Ninie“ spokojnie odpłynąć, d. 24 Lutego.

Ale nawałnice nanowo teraz znęcać się nad nią poczęły. Wśród niewysłowionych trwóg i znojów przedarł się nareszcie ten statek admirański, po-dobniejszy do czółna niż do okrętu, na wysokość Lizbony i d. 4 Marca ujrzał admirał przed sobą ujście Tagu. Zanim list napisany do króla Jana przy-niósł pierwszy swój skutek, podejrzliwość portu-galska zetknęła Kolumba nieprzyjaźnie ze sław-nym odkrywcą Przylądka Dobrej Nadziei, Bar-tłomiejem Diazem, który jako kapitan okrętu wo-jennego w porcie zażądał od odkrywcy Antyllów—nazwa przeniesiona z bajecznej Antilii (Antiglia, Antilla)—okazania sobie papierów legitymacyj-nych. Po dumnej a zupełnie słusznej odprawie pierwszej chwili Kolumb nakoniec uległ, gdy i Diaz uprzejmą prośbą zastąpił surowy rozkaz. Sko-ro poznano, że ów nieznamy jest „admiralem mórz“ i grandem hiszpańskim, stanął zaraz przed nim kapitan portowy ze świtą i muzyką i ofiarował mu swe usługi. Po mieście gruchnęła wieść o Hiszpa-nach, którzy wracają z Japonii. Zaczęły się piel-grzymki do statku. D. 8 Marca król wezwał Ko-lumba do siebie. Był to tryumf prawdziwy dla człowieka, którego propozycje tensam król był odrzucił. Teraz ten odepchnięty, ścigany nawet przez władze królewskie, rozповідаł królowi swe odkrycia i przygody z nakrytą głową i sie-dzący, co było najwyższym zaszczytem, jakiego mógł człowiek śmiertelny dostąpić. W trzy dni później przyjmowała Kolumba królowa. Podanie o zasadzce skrytobójczej jest tylko tą mgłą, którą chciano podnieść urok opisywanego życia. D. 13 Marca wyruszył Kolumb z Lizbony.

D. 15 Marca 1493 r. zawijał do tejsamej przy-stani, którą opuszczał d. 3 Sierpnia roku poprzed-niego. Miasteczko zawrzało radością, a zwiększył ją dziwnie przez los ułożony powrót jednoczesny za-ginionej „Pinty“. Kapitan jej, Vincente Alonzo Pin-zon, wyrzucony prawie przez morze na brzegi Ga-lieci hiszpańskiej, chciał się ztamtąd wysforować przed Kolumba i zawiadomił oboje królestwo, pod-ówczas w Barcelonie, o swym powrocie i goto-wości do zdania sprawy. Ale i król i królowa byli zbyt poważnymi na skorzystanie z tak skwapliwych usług. Pinzon dostał rozkaz stawienia się w orszaku admirała, gdy ten przybędzie,—i odpłynął do Ge-braltaru.

D. 31 Marca odbył Kolumb tryumfalny wjazd do Sewilli. Królestwo zaprosiło go do siebie, do stolicy katalońskiej. Tu stanął w środku Kwiet-nia, a przyjęcia, jakiego doznał, mógł mu pozazdro-szczyć niejeden monarcha. Historia zapisała jego opowiadanie żywe, wymowne, wzruszające pa-

thosem nieszczęścia i bohaterską nutą powodze-nia. Jeżeli prawdą jest, że wiara tworzy prorok-ów, wiara także tworzy mówców; od silne-go uczucia duszy rozum zapalał się płomie-niem, fantazyja wypromieniała z siebie poetycz-ność, pamięć wzbijała się do potęgi rzeczywi-stego malarstwa. Cały ten wir uczucia uplastycz-niającego się w myślach własnych i obrazach rze-czywistości porywał w siebie zarówno fakta rze-czywiste, prawdziwe, jak i błędy i złudzenia, z któ-rych największem było przeświadczenie o dopły-nięciu do Indyi azjatyckich. Szczera religijność owiewała całe to krasomówcze wystąpienie, w przed-miotowej treści swej zupełnie jeszcze średnio-wieczne,—ale nowe już, nową epokę świata wie-szczące, przez odwagę, wolę i energią czynu, pierwszą bezpośrednią siłą twórczą przy odkrywa-niu pierwszych lądów amerykańskich. Jak nad ma-pami średniowiecznymi w górze wylania się olbrzy-mie oblicze Chrystusa rozpościerającego swe ra-miona od północy na południe i ogarniającego świat, tak nad geograficznym sprawozdaniem Ko-lumba z pierwszej podróży drży pałająca wiara w wiekowe pożytki nowego odkrycia dla religii Chrystusowej i wszystkich społeczeństw chře-scijańskich na ziemi.

Ferdynand i Izabella, a głównie królowa kastyl-ska, uznali w odkryciu wielką zdobycz polityczną. Działając z niesłychanym pośpiechem, już d. 3 Maja (1493 r.) wyjednali sobie bullę papieżką, przysadzającą Hiszpanii wszystkie nowe lądy na zachód od południka przeprowadzonego o 100 *leguas* od Wysp Azorskich i Wysp Zielonego Przy-lądka, które Alexander VI na jednym umieszczał południku, idąc za błędną wiedzą tak jednej, jak drugiej strony. Gdy na podstawie tej bulli oba państwa zawierały układ w Tordesillas (r. 1494), Portugalczyki wyjednali sobie posunięcie tej hi-storycznej *linii demarkacyjnej* o 270 jeszcze mil da-lej na zachód, przyczem wypuszczono zupełnie Wyspy Azorskie, trzymając się tylko południka kapwerdyjskiego. Czyn Kolumba dostąpił rozgło-su po całej Europie i dał pochop do wszystkich przedsięwzięć żeglarskich, które na przełomie wie-ku XV w XVI uświetniają dzieje cywilizacji. Zro-biono później więcej od niego, i robiono lepiej niż on, ale on to swoje *mniej i gorzej* zrobił pierwszy— a to pierwszeństwo właśnie jest i pozostanie jego wielkością. Nie za to pamięta go Ludzkość, że szu-kał drogi do Indyi i Indye odkrywał, ale za to, że błędząc po manowcach pojęć, wolą swoją szedł niezachwianie prosto do celu, który mu wskazy-wała wiara i miłość dla myśli raz powziętej.

Żywe dowody odkrycia Indyi miał świat w sze-ściu przywiezionych przez Kolumba tuziemcach wysp Lukajskich i Antylskich. Teraz potrzebowa-no tylko ze szczęśliwego zdarzenia korzystać. Dla Hiszpanii była to już sprawa wewnętrzna, zaga-dnienie jej polityki kolonizacyjnej. Gdyby nawet nie ta wszechmocność, jaką daje wielbionym swoim zapal pierwszej chwili, wysłanie ponownej wypra-wy było dla Hiszpanii nieprzepartą koniecznością. Wyruszyła ona z Kadyxu d. 25 Września 1493 r. pod wodzą „admirala mórz“, a była już teraz praw-dziwie na owe czasy wielką, bo składała ją siedm-naście okrętów z pół tysiącem załogi i całym tysią-cem przyszłych osadników, ze zwierzętami domowe-mi, zbożem i nasionami Europy. Niczego i na nie nie żałował teraz znany z gospodarnej oszczędności Ferdynand; zaopatrzył Kolumba szczerze w za-pasy żywności, żołąd i siłę zbrojną. Lekarzem wy-prawy był zarazem jej kronikarz Dr. Chanca. Po zatrzymaniu się znowu w Wysp Kanaryjskich wy-ruszyła ta druga wyprawa d. 14 Października na zachód, zbaczając ku południowi i dwudziestego już dnia natknęła się na Małe Antylle. Było to w Nie-dziele d. 3 Listopada; najpierwszą wyspę dostrze-żoną od nazwy dnia Pańskiego nazwano „Domi-nica“; po niej odkrywano dalsze w kierunku północ-nym i północno-zachodnim. Drobne jakby maczki, które Gea usiała Ocean na wschód od Porto Rico otrzymały od Kolumba nazwę „Ursula e las XI mil. Virgines“. Przyszła kolej i na trzecią z rzędu wielką Antyllę, którą nazywano z początku „Be-requen“ (Porto-Rico). Wszędzie zastawał Kolumb ludożerców, stojących już przecież na jakimś sto-pniu kultury materialnej.

W końcu Listopada znalazła się wyprawa przy

brzegach Haiti. Założona przed rokiem osada już nie istniała. Zburzyła ją okrutnie ta sama ludność, która za jej łagodność wystawiał był żeglarz w swoim dzienniku. Nikt z życia nie uszedł; ciała pomor-dowanych leżały jeszcze w zaroślach. Nie chciał admirał wyszukiwać i karać winnych; poprzestał na założeniu nowej osady, nieco dalej na wschód, i nazwał ją „Isabella“. Imię królowej Kastylii nosiła zrazu i wyspa Kuba (Kolba), której nazwę znowu w początku XVI w. przenoszono na urojony stały ląd Azji, idąc w tem za samym Kolumbem. Wiemy już, że „Isabella“ nazwał admirał i jedną z wysp Lukajskich. Całą zimę spędził Kolumb na Haiti. Kolonizowanie wyspy szło opornie; wszyst-kich spotkało rozczarowanie. Złoto, które stanowi-ło podkład najgłębszy wszystkich marzeń i trudów zamierzanych, ciągle tylko uśmiechało się wyobra-żniom, wymykając się ciągle z rąk, które po nie sięgały. Klimat wpływał szkodliwie na zdrowie, ludzie chorowali i marli, nie mieli szczerzego popę-du do pracy. Część odpłynęła w Lutym 1494 r. na-powrót do Europy. Nad pozostałymi zdał Kolumb rządzą swemu bratu Diego, a sam popłynął na od-krywanie dalszych lądów. D. 5 Maja odkrył Ja-maikę; znalazł na niej piękne góry, wspaniałą ro-slinność, ale złota i owych skarbów indyjskich da-remnie szukał. Popłynął zatem do Kuby, i trzyma-jąc się południowego jej brzegu, zamiast dotrzeć do krańca, mniej więcej już w miejscowości dzi-siejszego Bataviano przyszedł do nieodwołalnego wniosku, że ma przed sobą nie innego, jeno ląd azjatycki. D. 12 Czerwca 1494 umyślnie wezwany notaryusz wyprawy pewnik ten stwierdził.

(Dokończenie nastąpi).

## PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

— No, dość tej admiracji! — zawołała niecier-pliwie Natalia.

— Czy wiesz co?—odezwał się nagle Zygmunt.

— *Par exemple?*

— Nie jedźmy na operę...

Natalia podniosła szybko oczy na mówiącego.

— Nie jechać—na operę?...

Wzruszyła ramionami.

— Tak! nie jedźmy na operę—powtórzył Zyg-munt.

— Widocznie chcesz po drugim przybyć na nią akcie?...

— Nie! chcę zupełnie na niej nie być i wieczór dzisiejszy przepędzić sam z tobą.

— Ach!—zawołała niecierpliwie Natalia.

— A gdybym cię bardzo prosił?

Palce kobiety poruszyły się nerwowo.

— Żartujesz, a czas upływa.

— Nie—nie żartuję... Lecz—gdybym cię bar-dzo prosił?...

— Musiałabym być nieposłuszną.

— A gdybym sam został?

— Pojechałabym i—pobiegłbyś za mną! Widzę nawet, że i teraz uczynić to muszę, bo inaczej z miejsca się nie poruszysz.

Odwrociła się szybko i wyszła.

Zygmunt stał chwilę i patrzył na drzwi, które z trzaskiem zamknęły się przed nim. Jakiś cień twarz mu okrył. Niewolany obraz z niedawnej, a tak mgłą gęstą przepełnionej przeszłości prze-sunął się przed oczyma pana Zygmunta.

I nagle, znikły przed jego wzrokiem adamaszko-we obicia ścian paryżkiego mieszkania; błękitne



niebo ziemi ojczyściej zawisło nad nim, zakotłowały się srebrne zbóż łany, błysnęła senna jeziora piers, jak szafir w lśniącej oprawie złota.

Był sam—gniewny, że był sam.

Leci oto motyl jakiś, który przed chwilą odleciał od niego, na piers mu się rzucił i usta pocałunkami okrył.

Zosia!

Zygmunt drgnął—marzenie pierzeło. Za drzwiami słyszał szybki chód oddalającej się kobiety.

— Ta—nie wrócił!—wyszeptał.

Pierwsza, bolesna bruźda, od dnia, w którym Natalii się oddał, na jego pięknem zarysowała się czoło.

Chwycił kapelusz i szybko zbiegł ze schodów.

Dopał Natalię w chwili, gdy, otwierając drzwiczki karety, miała już wsiadać. Koło powozu stał margrabia de Vilaindor i szeptał:

— Ja—byłem słowny... od kwadransa czekałem na panią na chodniku.

— Wam to z łatwością przychodzi—ale nam!

Wzruszyła ramionami.

— Cóż pani na przeszkodzie stawало?

— Admiracya pana Zygmunta, który mnie za długo pod swoim spojrzeniem zatrzymał.

— Nie dziwię się mu wcale.

— Pan nie byłbyś lepszym?

— Gorszym nawet, bo zatrzymałbym panią w ramionach.

— Pst!—szepnęła pani Natalia.

Wskoczyła do karety — Zygmunt podszedł do margrabiego.

— Wypadkiem spotykasz nas, margrabio, wyjeżdżających na operę—odezwał się, ściskając podaną dłoń pana Alfonsa.

— Wcale nie wypadkiem — odpowiedział margrabia. — Byłem pewny, że na premierze państwo będziecie i że pan zapomnisz o bukiecie dla hrabiny.

Pani Natalia trzymała w ręku piękną wiązanke róż świeżych, ujętą złotą klamrą, cienką jak nie pajęczka.

— Uprzedzający jesteś, panie margrabio.

— Tylko wyręczający — odpowiedział pan Alfons.

Sklonił się, powóz Zygmunta potoczył się i po kilkunastu minutach podjechał pod fasadę teatru.

Pyszny westibul gmachu opery roił się od ciekawych widowisk. Marmurowe schody krzyżowały się w najróżnorodniejsze załomy; aloesy, palmy i inne krzewy, ubrane wspaniałymi koronami kwiatów, tworzyły aleje czarodziejskich wiszących ogrodów. W dalekiej perspektywie ogromnego budynku widać było galerią, jak nici pajęczek, od ścian do ścian barwne; tłum płynął różnobarwną falą—widać go było ze stron wszystkich. Potoki białego światła zalewały przestrzeń, niezmierzoną, zda się, ostre cienie rysowały się na marmurach, przesłakiwały szybko z kolumn na kolumny. Od dołu ku górze sunęło mrowie ludzkie, tworząc jakąś fantastyczną tkaninę idących różnemi drogami pasm barwnych. Potok wzbierał, kilkunastu ramionami fal się rozlewał, które, zdawało się czasami, że płyną naprzeciw siebie, spotykają się, zerwą i staną.

Nie!

W przeciwnie strony rozbiegły się fale — tłum płynie swobodnie, ginie w labiryncie arkad, zjawia się na galeriach pajęczych i wielkiem morzem barw i szelestów zalewa salę widzów.

W loży pierwszego piętra, bliżej sceny, siedział Zygmunt z Natalią. Dało się słyszeć kilkakrotne uderzenie czarodziejskiej pałeczki dyrektora orkiestry; gwar tłumów skonał w coraz dalej idących szelestach, a dźwięki muzyki władcze berło ujęły.

W tem maćstro uderzył dwukrotnie o budkę suflera — zasłona podniosła się cicho. Zabrzmiął śpiew dobranej chóru, któremu zgodne, dalekie odpowiedziały echa.

Grzmot okłasków zakończył akt pierwszy. Zygmunt zwrócił się do Natalii i dostrzegł jej wejrzenie zwrócone na lożę, w której siedział młody margrabia de Vilaindor.

Natalia spostrzegła ruch postaci Zygmunta, spuściła szybko oczy — margrabia zakotłował się w aksamitnym fotelu, nie spędzając z ust swych uśmiechu zadowolenia.

Zygmunt raz pierwszy uczuł coś naksztalt za-zdrości.

Gdy po skończonej operze zajechał pod kolumnadę balkonu powóz Skalskiego, margrabia znalazł się przy karecie. Podał rękę Natalii, znacząco uściśnął dłoń jej i stosowną odpowiedź otrzymał.

Do domu wrócili późno; Zygmunt czuł się poirytowanym, ale pani Natalia nie zwracała na to uwagi. Skalski przechodził się po salonie, zbliżał się, to odchodził od niej, jakby miał coś powiedzieć i wahał się. Widocznie chciał być zapytany pierwszy, ale Natalia, choć zrozumiała pragnienie Zygmunta, udawała, że nie domyśla się niczego.

Skalski odehrząknął i stanął przed nią.

— Natalko!—odezwał się.

— Co?

— Czy czasem margrabia de Vilaindor nie za-nadto ci asystuje.

— Ty byłeś inny?

— Ja!—wybuchnął Zygmunt—to co innego!

— Jaką widzisz różnicę?

— Zdaje się, że nie potrzebuję ci o tem mówić.

— Więc nie mów—ciekawą nie jestem.

— Widzę tylko, że jesteś bardzo uprzejmą.

— Dla ciebie czy dla margrabiego Vilaindor?

— Dla mnie, naturalnie, że dla mnie! — odparł Zygmunt z przekąsem.

— Więc zkaż tą pretensya do mnie?

— Jestem — niespokojny!

— Nies-koj-ny?

Wzruszyła ramionami.

— Natalio!—zawołał Zygmunt, przypadając do jej kolan. — Mnie jakiś strach ogarnia. Nie zaprzeczysz, że od dwóch tygodni zmienila się bardzo: częściej skrzywienie widzę, niż uśmiech twoich ust, a teraz...

— A teraz margrabiego de Vilaindor! Och!...—zawołała Natalia.

— Powiedz, że kochasz mnie—powiedz!—szeptał Zygmunt.

— Wiem tylko, że mnie nudzisz!—odpowiedziała niecierpliwie Natalia.

Skalski zerwał się z kłęczek.

— No, tylko bez dramatycznych scen, mój drogi!... Jesteśmy wolni jak ptacy...

Zygmunt drgnął, lekka bledosc twarzy mu okryła.

— Tylko nie ja, nie ja — wyszeptał. — Ja coś zostawiłem za sobą, coś, do czego powrócić już nie mogę.

— Weześniej potrzeba było pomyśleć o tem; żal zapóźnym zwykle bywa...

— Masz pani słuszność! ale się nie spodziewałem takich słów od niej.

— Pani?—zaśmiała się Natalia. — Ach! mogłabym sądzić, że powtarzasz jakąś scenę z melodramatu.

— Czy to margrabia de Vilaindor nauczył panią w ten sposób odzywać się do mnie?

— Czy nie zechciałbyś pan być oględniejszym w swych słowach?—odezwała się Natalia ozięble, przyciskając do ust bukiet margrabiego.

Zygmunt skoczył, wyrwał z rąk jej kwiaty do ust niesione i cisnął o ziemię. Natalia zerwała się w płomieniach cała, chciała wiązanke róż podnieść, ale Skalski zdeptał je nogami, pod których naciskiem złota obrączka o sieci pajęczej przytrzymująca łodygi—pękła.

— Panie! to zniewaga!—zawołała.

— Dla kogo?—spytał szyderczo Zygmunt — czy dla margrabiego?

Usta Natalii zadrżały, ale przygryzła je do krwi i powstrzymała ostatni wybuch gniewu.

— Za dużo piłeś pan przy wieczery—pogawędzimy jutro, gdy uspokoją się zmysły pana—odpowiedziała stłumionym głosem.

Odwrociła się i wyszła z salonu.

Zygmunt uczuł szum w głowie, coś w sercu mu pękało, coś się nad nim waliło z łomotem. Runął na fotel i zdawało mu się, że go ciemność jakaś otacza, że w jakąś głębie zapada przy szeleście wichrów i ognistych połyskach błyskawic.

Nagle uczuł, że piers mu podnosi się łkaniem, że budzi go głos jakiś z dalekich stron, przez echa dalekie przywiany.

„Widziały fioletki moje — dzwonił szept cichy — jak śledziłeś każdy krok pani Natalii jak twoje spojrzenie zatrzymywało się na niej. Patrzyłeś na

nią jak w tęczę, jak w obrazek — ale ta tęcza ma barw siedm, ten obrazek nie będzie przy tobie w zlej czy dobrej doli, nie będzie tarczą, nie będzie puklerzem, promyczkiem słońca, ani uśmiechem wiosny. To nie żona twoja, nie Zoehna twoja, której złotą obrączkę dałeś i słowo, że jej wier-nym zostaniesz do grobu...”

Zygmunt się zerwał.

Był dzień biały.

Na wspaniałym ratuszu Paryża zegar uderzył dwunastą.

Całą więc noc i ranek cały w omdleniu przeleżał. Nieład w pokoju mówił, że od wczora nikt tutaj nie zachodził, nawet wiązanka zdeptanych kwiatów margrabiego leżała nieknięta na ziemi, a połamana, cienka ze złota tkanina, oświetlona blaskiem południowego słońca, mieniła się promieniami barw tysiąca.

Zygmunt podbiegł.

To skrzył się rozspany pyłek brylantów.

Nagle zabełkotał dzwonek u drzwi wchodowych. Po chwili wszedł kamerdyner.

— Margrabia de Vilaindor!—zaanonsował.

— Powiedz, że niema mnie w domu...

— Ale ja jestem—odezwała się Natalia, wchodząc do salonu, w stroju, który mówił, że gościa oczekiwala.

— Poproś margrabiego—rzekł Zygmunt sucho.

— Czy tu, gdzie leży ten kwiat, zdeptany przez ciebie?—spytała Natalia.

Zygmunt nie odpowiedział.

Margrabia de Vilaindor przestąpił próg sali.

Błada twarz Zygmunta pozwoliła mu się domyślić, że niedawno odegrał się tu dramat za-zdrości. Zdeptane kwiaty na ziemi, które wczora Natalii wręczył, utwierdziły go w domysłach. Stał chwilę, nie wiedząc od czego rozmowę zacząć.

— Czy margrabia przyszedłś dowiedzieć się, jak kwiaty pańskie wyglądają?—odezwał się Zygmunt, wskazując palcem na bukiet stłoczonych róż.

— Wiedziałem, że niepowinny inaczej wyglądać—odrucił margrabia. —Hrabia teraz wiesz, jakiej odpowiedzi od niego spodziewać się mogę.

— Domyślam się—odrzekł Zygmunt.

Margrabia zbliżył się do Natalii, która z kamiennym spokojem słuchała kartaczowych słów dwóch zapaśników. Zygmunt zastąpił mu drogę.

— Po powrocie z za obrębu Paryża, panie margrabio!—rzekł podniesionym głosem.

Margrabia przeszył go wzrokiem.

Po chwili sklonił się i wyszedł.

Natalia najmniejszym ruchem powiek nie zdradziła się z uczuć żadnych. Na marmurowej jej twarzy był zimny spokój posągów.

Na trzeci dzień dzienniki paryzkie doniosły o pojedyńku na szpady margrabiego de Vilaindor z hrabią Skalskim. Tegoż wieczora pani Natalia w loży margrabiego oczekiwała na jego przybycie. Wszedł z uśmiechem, miał w ręku piękny bukiet kwiatów osadzony w złotej braslecie, wysadzonej rubinami.

(Dokończenie nastąpi).

## Korrespondencya zagraniczna.

Kraków, w Lipcu, 1892 r.

Na nizinach spraw życia powszedniego tak mało pospolicie spotykamy tu faktów i zjawisk szerszego, podnioslejszego znaczenia, iż, zaiste, bardzo ubogim jest materyał dla korespondenta, jeśli kto nie chce zapełniać łamów pisma drobiazgami lub powtarzać tego, co czytelnik aż do znudzenia miał sobie podawane w pismach codziennych... To jedna z przyczyn, że tak rzadko, coraz rzadziej nadsyłam wam me listy, że milkną nieraz na długo, możecie mniemać—ba, i słusznie—żem zamilkł nazawsze... ...A zresztą warunki tutejsze niemal ku milczeniu skłaniają: przekształcamy się tu bo-



wiem i my, i nasze miasto, i odrębność nasza obyczajowa zatracą się, znikną. Różne, krzyżujące się wzajem prądy wpływów wielorakich, niepostrzeżenie może dla nas, oddziaływają wszakże w sposób bardzo stanowczy, by nas wyrzucić z resztek jakichkolwiek znamion odrębnych, z tych cech, które ciekawymi były dla różnych badaczy, przeważnie dla archeologów, dla turystów. Miasto nasze, kopalnia niegdyś studyów dla archeologów, dużo również straciło swych zewnętrznych, pouczających znamion. Jeszcze maluczko, maluczko, a strychulec czasu, wraz z niemalą obojętnością znacznej większości tutejszego ogółu, przedzierzgnię nas i miasto nasze na bardzo zwyczajny prowincjonalny partykularz. No, a z takich partykularzy, sami to przyznacie, bardzo niewiele po polsku jest do mówienia... Dziś jeszcze posiadamy to i owo z zabytków dawnego budownictwa, coś z zabytków sztuki kamieniarskiej ubiegłych czasów tuła się, jeśli nie zagubione, nie sprzedane marnie... Wprawdzie istnieje instytucja publiczna konserwatorów, ale i oni niewiele zakonserwować są w możności, pomimo swych chęci najlepszych, gdy patryceyat miejski, przeważnie bardzo świeżej daty, nie posiada zamięłowania rzeczy świadczących o życiu dawnym. To przedzierzgnię miasta stopniowe, ale ciągle, może nawet teraz z tempem bardziej śpiesznym, wedle pojęć i szablonu jakiegoś dziwnego nowatorstwa, jest zjawiskiem najwybitniejszym chwili dzisiejszej.

Zapisujemy je na czele listu obecnego; bo kto na to miasto od dłuższego czasu patrzy, mimowoli zjawisko rzeczzone chwili dzisiejszej, acz nie arcy-miłe, w oko mu wpadnie, a więc z kolei ołówek sprawozdawcy zniewolony je zanotować... lubo notowanie to przyjemnością wcale mienić się nie może... Jak przed trzema dziesiątkami lat drugie cesarstwo zniszczyło dużo z dawnego Paryża i przebudowało go z gruntu, zmieniło do niepoznania; jak dzisiejsze nowe gospodarzenie w Rzymie dużo niszczy, przekształca, i usuwa to, co było charakterystycznym, pamiątkowym, cenionym przez znawców sztuki, by je nowem zastąpić, najczęściej zbyt banalnym, — tak i my tu przebudowujemy się, i z rzeczami nowymi a banalnymi rozpięramy się tak bardzo szeroko, iż nie wahamy się to lub owo zburzyć, z rzeczy cennych pod niejednym względem, aby przestronniej się stało nowym budynkiem. Stosownie więc do świeżo zastosowanej metody, budując nowy teatr — a wnosimy go tu z niezwykłym wysiłkiem naszych funduszów miejskich — postanowiono bez żadnej rzeczywistej potrzeby zburzyć opustoszały od lat wielu kościółek św. Ducha, zabytek XIII stulecia. Idąc dalej drogą niezem nieusprawiedliwionych spustoszeń, zachodzą poważne obawy, iż dojdziemy do zburzenia kościoła św. Krzyża, którego mury przylegają bezpośrednio do burzonych teraz właśnie przastarych zrębów kościoła św. Ducha, iż pójdziemy znacznie dalej... dostać się może i Wawelowi: wszakże i on — to rudera.

Przychodzi nam na myśl, jak przed wielu bardzo laty J. I. Kraszewski, miłośnik zabytków sztuki i tego, co dawało dawne życie, zapłacił dość znaczną stosunkowo sumę jakiemuś izraelskiemu spekulantowi, aby z jego rąk odkupił ruiny kościoła w jednym ze starych ognisk życia, nad Styrem. Nikt wówczas nie wytworzył mu przeszkód do spełnienia czynu redemptyjnego: owszem, wdzięcznymi mu byli; tu inaczej obecnie natarczywie zapatrują się. Mistrz Matejko pragnął ocalić starą świątynkę: nie pozwolono mu, z całą brutalnością zabroniono. W ostatniej a stanowczej chwili jej zagłady, gdy Rada miasta uchwaliła owe mury sprzedać spekulantowi na zburzenie, odwołał się wielki artysta do p. burmistrza, pragnąc, by mu rudę darowano, a on ją własnym kosztem odnowi. Rada miasta nie odstąpiła od wyroku zburzenia... Myśl redemptyjna Matejki nie mogła być urzeczywistnioną. To, co uchwalono, z bezwzględnością wykonano... Dziwne to a bardzo smutne...

Prądy obce, kosmopolityczne, wiejące z Zachodu, głównie wpływają na wytwarzanie owych zachcianek niwelacyjnych; pewne cele użyteczne są po polsku pozorem tylko: chodzi tu w gruncie rzeczy o cele jakieś inne; często wzajemne a ciągle

swary dwóch obozów przyspieszają swą walkę owe burzenia.

Prassa, jak po polsku tu bywa, na dwa również podzielona obozy, zapobiedz temu nie może; bo gdy dwa z miejscowych dzienników gorszą się tem, co się dzieje, trzeci pochwała owe zachcianki niwelacyjne. A zresztą, głos tutejszej prasy powagi i wpływu ma niewiele...

W dniach majowych, zanim zacznie się sezon kąpielowy, sezon letnich wycieczek, lub uciekania poprostu z duszącej atmosfery miasta, które nie posiada ani kanalizacji, ani wodociągów, miewa zwykle publiczne, doroczne posiedzenie Akademii Umiejętności. Jedyna to duchowa biesiada, w której biorą udział kobiety, zwykle przepełniające, a przynajmniej napełniające salę posiedzeń. W roku bieżącym wcześniej nieco, niż zwykle, bo w pierwszych dniach Maja, miała ona miejsce. Dawniej odbywały się publiczne akademie posiedzenia we własnym gmachu tej instytucji, ale obecnie, kiedy jedyna większa sala domu akademii przekształcona na czytelnia, publiczne posiedzenia odbywają się w auli uniwersyteckiej, w gmachu *Collegium Novum*.

Aula w *Collegium Novum*, niezbyt obszerna, ale piękna swą powagą, zapełniła się i tym razem licznymi zastępami pań i panienek, dla których w znacznej części balast naukowy, zawarty w rozprawach odczytywanych, w mowach wypowiedzianych, zbyt jest ciężkim. Pomimo to jednak corocznie, a więc i teraz, w szeregach publiczności świeciły przeważnie niewieście postacie, młode, młodsze i młodzieńcze, i stroje niewieście. Posiedzenia te niezmiennie jeden i tenże sam posiadają charakter, nader poważny, może nawet za poważny, dla licznego pospolicie, niewieściego audytorium, odbywają się zaś wedle raz przyjętego i ściśle wykonywanego regulaminu.

Na czele tej naukowej instytucji stoi prezes, wybierany z grona rzeczywistych członków akademii — takim jest od roku, czy też od półtora, Stanisław hr. Tarnowski, który przewodnictwo objął po rezygnacji czcigodnego Majera, męża rozgłosu wśród swoich i obcych pracy i nauki... Po nad prezesem akademii posiada swego, tak zwanego protektora i vice-protektora, mianowanych przez koronę.

Protektorem stałym, dożywotnim — jest brat starszy cesarza austriackiego, arcy-książę Karol Ludwik. Że jednak godność ta honorowa spoczywa w dłoni człowieka zbyt wysoko i zbyt daleko stojącego od spraw akademii, korona przeto mianuje, również dożywotniego, vice-protektora, z szeregów społeczeństwa naszego. Takim widziano dawniej b. ministra, Alfreda hr. Potockiego, takim obecnie jest b. minister, Julian Dunajewski. Otóż po polsku na posiedzenie publiczne zjeżdża vice-protektor i posiedzenie zagaja mową, na którą odpowiada mu prezes, poczem generalny sekretarz akademii (a takim jest obecnie prof. Stan. Smolka) odczytuje długie i wyczerpujące sprawozdanie z czynności akademii naukowych, i z jej administracji, a wreszcie jeden z członków stałych rozprawą naukową zamyka posiedzenie: ta rozprawa po polsku tworzy główny naukowy balast publicznych posiedzeń.

Stan finansowy akademii wyborny; przynajmniej stosunkowo do innych instytucji. Posiada akademie tak ustalone, i dobrze zasłużone zaufanie, iż legata różne na cele naukowe wciąż do jej drzwi kołaczą, mienie więc szybko pomnaża się: stała się przytem wykonawczynią różnych zapisów, które z czasem dopiero mają na naukowe cele przejszć, a dziś akademie z tytułu egzekutorki wszystkich zastrzeżeń testamentowych spełnia, i w ten sposób pieczołowicie, nie bez pewnego trudu nawet, opiekuje się funduszami, które na różnych drogach i różnymi sposobami pomnażać mają naukowy dorobek społeczeństwa.

A jak często ofiarność na naukowe cele wykłama tam właśnie, gdzie najmniej może być powodów do jej spodziewania się, przykładem dla akademii 40.000 guld., na prace nad historią krajową, krawca z Berna Morawskiego niejakiemu Cuzydło.

Cuzydło ten wymownym przykładem, czego pracą wytrwała można dokonać. W Bernie Morawskim dorobił się mienia; zanim wszakże w świat

wywedrował, przed kilkudziesięciu laty przyszedł był z rodzinnego miasteczka Andrychowa — z okolic podtatrzańskich — do Krakowa, gdzie terminował u krawca. Widocznie, iż oprócz władania igłą, nożycami, żelazkiem lub łokciem, młodzieńki Cuzydło sięgał wcześniej myślą poza ściany dusznej izby warsztatowej, i jakieś szczęśliwsze może prądy nad ziemią przesuwające się myśl jego ku poważnym kierunkom zwróciły. Gdy wreszcie przed czterdziestu dwoma laty wyzwolono go na czeladnika — a ówczesny Kraków wydawał mu się zbyt małym polem do wydoskonalenia się dalszego w obranym zawodzie, bo w istocie, po wielkiej podróżce, rozsypywał się w gruzy, i sądzono, że z nich nigdy nie podniesie się — wywedrował w świat, unosząc z sobą, z pod własnego nieba, jedynie błogosławieństwo ubożuchnej matki, przytulonej gdzieś pod cudzym dachem w Andrychowie, i wielką miłość pracy a wytrwałość niezmierzającą, przymiot — prawie nieznanym w naszym plemieniu... To było całe bogactwo Cuzydła. Nie wiemy w jakich i w wielu miastach niemieckich i czeskich pracował, ale praca snadź owocną się stała, wytrwałość go nie opuszczała, zakłada bowiem z czasem na własną rękę pracownię w Bernie Morawskim, prawie na między swojskiego zagonu, może z zamiarem, gdy się uzamożni, do swoich warsztatów przenieść. Zanim to nastąpi, zabezpiecza matkę dach własny w Andrychowie, na resztki życia; dźwiga z biedy, na drogę najbezpieczniejszą i najpewniejszą do chleba prowadzącą, na drogę pracy, wprowadza młodzieńcze rodzeństwo, i wciąż marzy, siedząc wytrwale przy igle, iż wprędce, kiedy się z nagłą robotą upora, zajrzy chociaż chwilowo poza swojskie płoty.

Czasu mu jednak wciąż brak. Na pilnej robocie nie zbywa: ma już w Bernie własny dom i magazyn, posiada liczną klientelę, ale nieustannie mu brak czasu; wątek pilnej roboty wciąż się snuje, końca jej nie widać, dzień wypoczynku nie nadechodzi. Ani się opatrzył, jak życie przy pracy zbiegło: nadeszła starość, z nią choroba i ślepotę. Znekany chorobą, dopiero wówczas Cuzydło wypuszcza igłę z dłoni, gdy wiekiste mroki stanęły przed jego okiem. Warsztat odtąd prowadzi: służba, domownicy; on, ociemniały, nie mogąc już pracować szuka czasu, zwracając się ku sferom myśli, każe sobie czytać. W otoczeniu swem nie posiada lektora władającego inną mową jak niemiecką, czeską lub morawską; czytają mu więc obce dzienniki, przeważnie niemieckie. Z nich dowiaduje się, że w Krakowie powstała Akademia Umiejętności, że od kilkunastu lat pracuje na polu naukowym. Wiadomość ta, zapewne drobna notatka, gdzieś w niemieckiej gazecie zabłąkana przypadkiem, nie przechodzi niepostrzeżenie około ucha człowieka, który słuchem już tylko żyje — postanawia uposażyć ową instytucję, i to uposażyć tak hojnie, jak prawie nikt dotąd.

Acz schorowany, co więcej, już prawie gasnący, acz nieświadomy bliżej stosunków Akademii, przeprowadza tę rzecz poprostu, lecz nader praktycznie. Dyktuje list wzywający, by ktoś przybył z Akademii do Berna dla ważnej sprawy, ktoś godzien zupełnego zaufania, lecz śpiesznie, bardzo śpiesznie, gdyż życie gaśnie, siły się wyczerpują... Opóźniony nieco posel może go już nie zastać... Na wezwanie naglące tegoż dnia podążył delegat akademii ze stosownymi umocowaniami do morawskiej stolicy, gdzie zastał człowieka w istocie już gasnącego, ociemniałego, z trudnością mówiącego, lecz świadomego swych pragnień... Był to Cuzydło, ów krawczyk krakowski, syn wieśniaczej lepianki ubożuchnej Andrychowa... Nie spisywał on żadnych aktów, nie czynił testamentów, które po polsku w naszych czasach, ku zgorszeniu społeczeństwa, są obalane przez rzeczywistych, bądź domniemyanych spadkobierców, ale wręczył delegatowi akademii dar złożony z 40.000 guld., które głównie na cele badań historycznych przeznaczył. Rzecz załatwiła się bez żadnych formalności, szybko i stanowczo. A śpieszyć było, zaiste, potrzeba, śmierć bowiem, która nigdy na nikogo i na nic nie zwykła czekać, stała już u węgłowania tego szlachetnego człowieka i wprędce go zabrała...

Rozszerzyliśmy się nad wspomnieniem o człowieku, który żyć będzie w dziejach uposażeń



Akademii, i żyć powinien w pamięci wszystkich ceniących pracę, jako najskuteczniejszą dźwignię w życiu. Typów wybitnych coraz mniej, tem skwapliwiej zachowujemy przyszłości te, nieliczne, co się jeszcze dadzą odnaleźć...

Akademia dotąd pod wielu względami w swem w swem gospodarstwie podobną była do dorobkowicza, który, w mienie urosłszy z małych początków, nieprzyzwyczajony czuje wstręt do większych wydatków, unika ich i wtedy nawet, gdy mu już stać na szersze odemknięcie worka. Do roku obecnego najzupełniej takim było postępowanie Akademii.

Przy nowym zarządzie zdecydowała się wreszcie stać się mniej oględna, co do małych przynajmniej wydatków, a worek swych znacznych dochodów rozwiązać. Nie krepując się więc dotychczasowymi względami, poniosła pewne koszta na urządzenie czytelnicy, którą uczyniła dostępną dla chcących pracować, bądź przynajmniej, chociaż ogólnie, z pracą innych zapoznawać się.

W obszernej, a jedynej w gmachu Akademii większych rozmiarów sali stanęła owa czytelnia, wskazując, chociaż z brzegu tylko — ale w każdym razie wskazując — jak obszernymi są zasoby biblioteki i zbiorów Akademii, jak rozległa niwa pracy, byleby chętnych, oddanych prawdziwie nauce pracowników znalazł się zastęp.

Miejmy nadzieję, że to, tak pożądaną, a od lat wielu oczekiwane, odemknięcie zbiorów książkowych i rękopiśmiennych przedniejszej, naukowej instytucji, przyczyni się poniekąd do odnalezienia, właściwie do wytworzenia tego zastępu. Dziś bowiem ludzi wyłącznie oddanych nauce, pracujących dla niej bezinteresownie, miłujących ją idealną, wielką miłością — zaiste, nie widzimy. Chociaż mogłoby być inaczej: środki kształcenia zwiększają się; ułatwienia różnego rodzaju, dążące do uprzystępnienia szerszej wiedzy dla ludzi pozbawionych możności nauki wyższej nie przestają wzrastać.

Oto, przed niewielu dniami, dłoń nielubiąca rozgłosu a kierowana prawdziwie znać wielkiem uczuciem obywatelskiem właściciela tutaj istniejącego muzeum jego imienia, wytworzyła stypendyum na jednym z uniwersytetów obcych, w Szwajcaryi, w mieście Fryburgu, dla niezamierzonych lecz zdolniejszych wśród naszej młodzieży. Mogą z rzeczonego stypendyum korzystać uczniowie uniwersytetów krajowych, którzy się oddają studiom filologiczno-literackim lub filozoficzno-historycznym, wreszcie i teologicznym. Pobyt na studiach we Fryburgu szwajcarskim nie mało może się przyczynić do rozszerzenia horyzontu wiedzy i poglądów ucznia, gdyż młoda tamieczna wszechnica nosi charakter zachodnio-europejski i mając wykłady w dwóch językach — francuskim i niemieckim — ściągają nie tylko młodzież z różnych krajów na ławy akademickie, ale i katedry zapełnia pracownikami różnych szczebli, połączonych z sobą ogniwami cywilizacji zachodnio-europejskiej... Każdy więc prawie z ludów wypiastrzonych przez ową cywilizację zachodnią ma w młodej, wyższej szkole fryburskiej swego przedstawiciela: Kraków tam również dostarczył na jedną z katedr swego ucznia; jest nim młodziutki professor Józef Kallenbach, który na kursach filologiczno-literackich zaznajamia Szwajcarów z Janem z Czarnolasu i z epoką odrodzenia na wschodzie europejskim.

Jeżeli możność zacerpnięcia szerszej wiedzy stopniowo wzrasta i ofiarność publiczna w tym kierunku obfitość często wytryska źródłem, mnożą się u nas, chociaż może nie z nadzwyczajną szybkością, zakłady przygotowujące młodzież do wyższych studiów. Do istniejących w Krakowie trzech ośmioklasowych gimnazyów i jednej szkoły realnej (także urządzonej na stopie szkoły gimnazjalnej) przybywa od obecnych wakacji jeszcze jedno gimnazjum: urządza go na odległym przedmieściu Krakowa, na tak zwanym Podgórzu, leżącym na prawym brzegu Wisły.

Pocieszająca to bezzaprzeczenia wiadomość, nie tylko dla naszego miasta, gdzie ludność dość szybko wzrasta — samo przedmieście Podgórze posiada obecnie przeszło 10.000 mieszkańców — ale i dla okolicy, co legła od Wisły ku Beskidom; na

całej tej dużej przestrzeni, w kierunku tak głośnego dziś Zakopanego, aż do węgierskiej granicy nie posiadaliśmy ani jednego gimnazjum.

## "CZTERYSTU"

Życie towarzyskie w New-Yorku.

(Dokończenie).

Pomiędzy uroczystościami zimowemi w New-Yorku na główną wzmiankę zasługują tak zwane „afternoon tea“, czyli przyjęcia herbaciane. One to stanowią podstawę życia towarzyskiego, a z każdym rokiem więcej się upowszechniając, grożą zupełnem wyrugowaniem wszelkich zebrań poufnych.

Herbaty owe urządzone bywają w najrozmaitszy sposób; zaczawszy od „jour fixe“ to jest dnia oznaczonego w tygodniu, w którym gospodyni domu po południu przyjmuje u siebie i przybrana w skromną codzienną suknię przy żarzącym się kominku ma ciągle w pogotowiu filiżankę herbaty dla nielicznej garstki swoich znajomych, — aż do świetnego przyjęcia, gdzie zaproszone do pomocy damy, w balowych strojach, kwiatach i brylantach, przypatrują się defilującym przed niemi tłumom, a jednocześnie w sali jadalnej, naokoło stołu wystawnie przybranego, zręczna i wykwinna służba roznosi kielichy ponczu lub szampana, ukryta zaś orkiestra odgrywa ulubione tańce lub wyjątki z oper.

Przyjęcia takie niesłychanie są kosztowne, a żadnej właściwie nie stanowią przyjemności; do dobrego bowiem tonu należy nie pozostawać dłużej nad pół godziny, zwłaszcza, że damy światowe mają czasem do oddania trzy lub cztery takie same popołudniowe wizyty. Według przyjętego zwyczaju przybywa się na „afternoon tea“ w kapeluszach i toaletach spacerowych, które, choćby były najbogatsze i najwykwintniejsze, powinny nosić charakter „toalet spacerowych“. Damy przyjmujące u siebie pozostają bez kapeluszy.

Na tych-to zebraniach po największej części młode panienki, przedstawiane są znajomym swoich rodziców. Owe debiutantki, wstępujące poraz pierwszy w świat, przybrane są zwykle w białe powiewne suknie bez ozdób; trzymają się po lewej stronie swojej matki, wśród otoczenia rówieńnic i przyjaciółek, które dopomagają nowicjusze przyjmować gości. Niekiedy też przedstawienie towarzystwu młodej panienki odbywa się na balu, ale przyjęcia herbaciane mają w tym względzie pierwszeństwo. Pewna koterya dam urządziła u siebie podczas zimy kilka takich przyjęć, a o ile ich liczba jest większą, o tyle urządzenie skromniejsze. Ulubionym i wygodnym dla dam zwyczajem jest przyjmowanie przez cały miesiąc w dniu oznaczonym, „jour fixe“, np. pozostawać w domu we Wtorki lub Czwartki przez cały miesiąc Styczeń. Tym sposobem liczba odwiedzających dzieli się na cztery dni i unika się zbytecznego ścisku, bo tylko najpoufalsi przyjdą więcej, niż raz; w ogóle bowiem wszyscy są bardzo zajęci, i każdy rad wykreślić z listy swojej, choćby jedną obowiązkową wizytę.

Dama należąca do wielkiego świata wyjeżdża z domu wytwornym swym ekwipażem o godzinie trzeciej popołudniu, a powraca do siebie za ledwie o siódmej lub ósmej wieczorem. Ukazała się przez ten czas, co najmniej na dwunastu „afternoon tea“. Oprócz tego, wypada nieraz pokazać się na popołudniowych koncertach, choćby na pięć minut tylko. W każdą Sobotę we wszystkich teatrach odbywają się popołudniowe przedstawienia, które kończą się o godzinie piątej, tak, że można jeszcze po teatrze kilka herbatek obecnością swoją zaszczyścić.

Naturalnie, goście wizytujący składają się przeważnie z kobiet, a dopiero o godzinie szóstej pojawiają się panowie, i to głównie w Sobotę, gdy w popołudniowych godzinach pozamykane są już

banki. Najczęściej śpieszą do salonów, gdzie ma być zaprezentowana towarzystwu wstępująca w świat młoda panienka. Wielce zajmującymi są owe przyjęcia w pracowniach malarskich znakomitych artystów; tutaj bowiem, w pośród atmosfery tak zwanej „bohème“ znika wszelka sztywność etykiety, a miejsce jej zajmuje swobodna, przyjemna i pełna dowcipu pogadanka. Herbaty w pracowniach artystycznych przyczyniają się głównie do ożywienia sezonu wizytowego.

Bardzo poważną rolę odgrywają w życiu towarzyskim w New-Yorku proszone obiady. Zbytek i ostentacya przechodzą tu już wszelkie granice, w czem żadna stolica świata dorównać N. Yorkowi nie zdoła. Pomijając publiczne bankiety, obiady wydawane w klubach, oraz składkowe na cześć znakomitych cudzoziemców, lub na uczczenie jakiejś narodowej uroczystości, w których-to kobiety udziału nie biorą — obiady proszone w domach prywatnych takimi samymi odznaczają się zbytkiem i wystawnością. Wydanie podobnej uczy jest kamieniem probierczym znajomości świata gospodyni domu, chcącej utrzymać poważne stanowisko w towarzystwie. Zadowolnić wyborem potraw wybrednych smakoszy, damy znużone światowymi obowiązkami pobudzić do rozmowy i wesołości, wywołać ogólnie miłe wrażenie, jest sztuką nad sztukami, wymagającą wielkiego taktu w doborze uczestników bankietu, w umiejętnem ich rozmieszczeniu, a nadto — znajomości rzeczy w zarządzeniu bogatej i wspaniałej zastawy stołu. Gospodyni domu, umiejąca tu pogodzić wszelkie warunki towarzyskich wymagań z warunkami komfortu i wykwintego smaku, zapewni sobie raz na zawsze zaszczytne stanowisko w wielkim świecie. Śniadania czyli „lunch parties“ są również miłą rozrywką a nawet specjalnością amerykańskiego życia towarzyskiego. „Lunch“ może być urządzonym taksamo na sześć osób, jak i na kilkaset, i tu wyjątkowo tylko damy udział przyjmują. Odbywa się on zwykle przy świetle dziennem, o godzinie drugiej popołudniu. Gospodyni domu przyjmuje przybrana w suknię jedwabną lub wełnianą, zapiętą pod szyję i z długimi rękawami, damy zaś przybywają w wykwinnych toaletach wizytowych i w kapeluszach, taksamo jak i na przyjęcia herbaciane, na które często udają się prosto z lunchu. Damskie te zebrań odpowiadają w zupełności publicznym mezkim obiadom.

W dalszym ciągu specjalnych zabaw wyróżniają się zebrania teatralne „theatre parties“. Amerykanie i Amerykanki chodzą do teatru li tylko dla zabawy, a ponieważ każda rozrywka, jak to z doświadczenia wiadomo, jest o wiele przyjemniejszą w dobranym kółku przyjacielskiem, nabywa się więc dwie lub trzy łoże, albo odpowiednią ilość krzeseł dla towarzystwa zaproszonego i wiezie się swoich gości omnibusem tam i napowrót. Na tych wieczornych zebraniach teatralnych damy ukazują się w bardzo strojnych kapeluszach, a panowie we frakach, jak to zresztą jest zwyczajem w Ameryce w godzinach wieczornych. „Theatre partie“ zakończone jest zwykle kolacją, albo w domu u osoby zapraszającej, albo też w oddzielnym gabinecie wykwinnej restauracji, lub w renomowanym hotelu. Są to przyjęcia bardzo kosztowne, ponieważ w żadnym uczęszczanym teatrze w New-Yorku nie płaci się za miejsce siedzące mniej półtora dolara, a łoże są nierównie droższe. Goście zaproszeni nie opłacają nigdy powozu; ztąd łatwo pojąć, że podobne zaproszenia w wyjątkowych tylko okolicznościach nie bywają przyjmowane.

Z kolei wspomniemy o wieczorach muzycznych „soirées musicales“ słowo w słowo podobnych do zebrań towarzystwa dziennych, a w końcu o balach.

Bale w Ameryce odbywają się bardzo często, a urządzone są w sposób tak różnorodny, że trudno wykazać tu wszelkie ich odmiany.

Główną cechą „balu“ jest kosztowne i zbytkowne urządzenie; te zaś, które obchodzą się bez szczególnych przygotowań nazywają poprostu „tańcząciami kółkami“ „informal dance“ lub t. p. Bierze w nich udział kilka rodzin i urządzi się je w salonach wynajętych, trzy lub cztery razy podczas zimy.



Zebrania te nazwane „dancing class“ rozpoczynają się o godzinie dziewiątej wieczorem, gdy tymczasem bal prawdziwy nigdy wcześniej, niż po godzinie jedenastej lub około północy.

Dama wielkiego świata, obowiązana być w ciągu tygodnia na kilku balach, nie pozostaje nigdy dłużej w salonie nad jedną a najwyżej dwie godziny. Z tysiąca balów publicznych, wydawanych w New Yorku każdej zimy, dwa tylko zaszczytane bywają obecnością kółka „czterystu“ a mianowicie: bal doroczny dobroczynny „charity ball“ urządzany w gmachu opery, oraz wielki bal składkowy „subscription ball“. Ten ostatni jest jeszcze zupełną nowością, i nie można go nawet nazwać balem publicznym, ponieważ nikt obcy towarzystwu biletu wejścia otrzymać nie może. Jak jeden tak drugi bal zobowiązuje do uczestnictwa wszystkich, którzy liczyć się pragną do kółka „czterystu“.

Przed niedawnym jeszcze czasem odwiedzanym był przez towarzystwo bal „pułku weteranów“ (starej gwardyi) oraz bal niemieckiego kółka śpiewaków, urządzany w gmachu opery; obecnie tak te, jak i wszystkie inne bale publiczne zgromadzają tylko towarzystwo mieszane.

Dzień niedzielny w New-Yorku przechodzi w zupełnej ciszy—żadnych widowisk, teatru pozamykanego, ani balów ani nawet przyjęć herbacianych w dniu tym nie urządzają, lecz tylko obiady rodzinne i od czasu do czasu koncert.

Obowiązek społeczny w Ameryce nakazuje w dniu niedzielnym koniecznie być w kościele, a pomimo teatralnej cechy, jaką przedstawia dla cudzoziemca pochód do kościoła w głównej alei, pobożność jednak w New-Yorku nie jest bynajmniej powierzchowną. Bogate dziedziczki, które w ciągu tygodnia bawiły się może nad siły, w niedzielę o dziesiątej rano znajdują się już w szkołkach niedzielnych i z całym zapałem oddają się nauczaniu licznie zebranych biednych dzieci. W czasie postu jest również obowiązkiem być co najmniej dwa razy na tydzień w kościele; w tymże czasie bogate panienki organizują kółka pracy dla biednych, lub też poświęcają codziennie kilka godzin szpitalom, gdzie rekenwalescentów pokrzepiają zdrowiem i pożywnymi posiłkami albo też bawią czytaniem dobrych i pożytecznych książek.

Śluby odbywają się w New-Yorku w każdej porze roku i dnia, ale najbardziej uprzywilejowaną porą do zawierania małżeństw jest Wielkanoc lub początek Października; uprzywilejowanymi zaś dniami Wtorek, Środa i Czwartek. Niektóre śluby odbywają się o godzinie 11 rano lub w południe, inne zaś o czwartej lub piątej po południu albo wreszcie o ósmej wieczorem.

Obzęd ślubnej uroczystości w Ameryce ma wszelkie pozory teatralnej ostentacji, tak, że niejedna sentymentalna i delikatniejszych uczuć panienka przekłada dać się raczej porwać narzeczonemu, niż narazić na drwinki swoje szczęście i młodego serca uniesienia. W rzeczy samej obrzęd weselny panny znakomitego domu nosi cechę uroczystości benefisowej ubóstwianej artystki. Bogate narzeczone ponoszą koszt strojów otaczających ją przy ślubie druchen a oprócz tego każda z nich otrzymuje od panny młodej pamiątkowy podarunek pod postacią cennego klejnotu, od pana młodego zaś bukiet. Liczba druchen, zależy od woli i możliwości panny młodej. Ubrane są one zwykle jednakowo, lub też w kolorach harmonizujących z sobą, a często w rozmaitych odcieniach jednego i tego samego koloru. Pan młody wybiera sam drużbów „ushers“ to jest czterech, sześciu lub ośmiu kolegów, których obowiązkiem jest wskazywać zaproszonym miejsca w kościele i utrzymywać w orszaku ślubnym należyty porządek. Jeden z przyjaciół pana młodego staje tuż obok niego podczas uroczystości ślubnej i spełnia wszelkie przygodne obowiązki. Pochód orszaku do ołtarza uregulowany jest naprzód i poprzedzony próbą — dla porządku.

Kiedy na organach zabrzmia dźwięki weselnego chóru z Lohengrina, ukazuje się narzeczonego w towarzystwie swego przyjaciela i zajmuje miejsce przed ołtarzem. Tuż za nimi postępują parami, w największym porządku, drużbowie, „ushers.“ Dalej, po chwili wchodzi druchny, również parami, a za nimi druchna honorowa (zwykle znana

piękność) postępuje sama. Pochód ten zamyka panna młoda, wsparta na ramieniu swego ojca lub najbliższego krewnego.

Jeżeli ślub odbywa się w dzień, a zwłaszcza na wiosnę, panna młoda jest zwykle w kapeluszu. Ślub wieczorem wymaga toalety niemal balowej. Panowie tylko wieczorem są we frakach, ponieważ w Ameryce, frak noszony jest od szóstej godziny rano tylko przez kelnerów. Młode panny zdobią włosy kwiatem pomarańczowym, wdowy zaś i panny doletnie przekładają toaletę spacerową i kapelusz, pozostawiając białą suknię i wieniec pomarańczowy tylko młodzieńskim narzeczonym.

Wieczorki przedweselne nie są znane w Ameryce. Bogatsze panny w wigilię ślubu wieczorem zapraszają czasem swoje przyjaciółki na obiad, podczas gdy narzeczonego ugasać swoich towarzyszy pożegnálną biesiadą.

Naręczona otrzymuje od narzeczonego, jako dar, zaręczynowy pierścionek z brylantem, a dopiero przy ołtarzu złotą obrączkę zwyczajną. Pan młody nie dostaje wcale ślubnego pierścionka. Uroczystość zaręczynowa nie ma nigdy miejsca w Ameryce, a to z powodu, że zaręczyni nie zobowiązują tam tak, jak w innych krajach, a zerwanie przyrzeczenia bynajmniej nie czyni ujemy młodej osobie w oczach świata amerykańskiego.

Blask powierzchniowy, próżnia życia, wieczna krętanina, bezustanny gorączkowy pośpiech, uganianie się za nieczem—i tylko za nieczem, oto cechy tego wyborowego wielkoświatowego życia w New-Yorku. Przedewszystkiem tryb tego życia nadzwyczaj jest kosztownym, a ów mecenas samowładny kółka „Czterystu“ bardzo słusznie twierdzi, że rodzina niezbyt liczna, mająca dochodu milion dolarów, jeżeli zechce jakietakie stanowisko zająć w owym towarzystwie, będzie tylko zdolną podtrzymać „przyzwoite ubóstwo“, o ile bowiem blask zewnętrzny jest olśniewającym, o tyle zbyt kowne życie pełne wymagań i pretensyi. Troje lub czworo służby wystarczy zaledwie dla miernej utrzymywania domu—domy większe wymagają sześciorga lub więcej służących. Nie potrzeba dodawać, że w towarzystwie, którego wyłączną wartość stanowi blask powierzchniowy, życie rodzinne wśród kółka przyjaciół—powoli zacierają się zupełnie.

## Kronika działalności kobiecej.

— W Petersburgu jest 126 elementarnych szkół dziewcząt, które w ubiegłym roku szkolnym liczyły 6.124 uczennice.

— Wskutek rozporządzenia główno-zarządzającego w Komitecie zakładów szkolnych postanowiono wprowadzić do wszystkich zakładów żeńskich, nauczających robót kobiecych a zostających pod zawiadywaniem tegoż Komitetu, podręcznik opracowany przez nauczyciela szkoły kroju, K. Głodzińskiego, pod tytułem: „Najnowsza, praktyczna i uproszczona metoda kroju sukien i innych ubrań, oraz bielizny tak kobiecej, jak i dziecięcej.“

— Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności dało pp. Karolinie Smoleńcównie i Julii Unsłiechtównie nominacje na zarządzające czytelniami bezpłatnymi przy ochronach; na opiekunki Przytułku 3-go sierot dziewcząt przy ulicy Cichej, pp. Annie Sobolewskiej, Miłosławie Kaszewskiej, Jadwidze Zatorskiej, Janinie Bloomerowej, Ludmile Sławianowskiej, Wandzie Antoniewicz, Annie Minejkowej, Hortensyi Lewentalowej; na opiekunki ochrony 2-jej pp. Jadwidze Makowieckiej i Józefie Cassius; na opiekunkę ochronę 6-jej hr. Józefie Roztworowskiej; na opiekunkę główną ochronę X-jej hr. Zygmuntovej Wielopolskiej; na opiekunki ochron 32 pp. Maryi Waligórskiej i Jadwidze Szecherbińskiej; na przewodniczącą w radzie opiekuńczej Szwalni I-jej: pp. Maryi Olęckiej, Maryi Przanowskiej, hr. Amelii Soltan, Lud-

wiee Benni, Maryi Siewruk, Alexandrze Wieniawskiej, Antoninie Poniatowskiej, Anastazy Rutkowskiej na opiekunki tejże szwalni 1-jej; na opiekunkę honorową szwalni 1-jej p. Maryi Józefowiczowej; na opiekunki zakładu szwalni 5-jej pp. Maryi Przanowskiej, Jadwidze Roztworowskiej, Józefie Szekowej, Elżbiecie Kijowskiej, Zofii Makowieckiej i Zofii Szeliskiej; na opiekunki ochrony 17 pp. Jadwidze Krausharowej i Annie Reichmanowej; na opiekunkę ochrony 20 p. Florze Kleinadlowej; na opiekunki ochrony 24 pp. Hortensyi Lewentalowej, Leonii Natansonowej i Bronisławie Natansonowej; na opiekunki ochrony 32 pp. Stanisławowej Bardzkiej, Ignacowej Jurskiej. P. Marya Pfejfferowa została członkiem Towarzystwa.

— P. Z., mieszkanka Zgierza, urządziła w pobliżu tego miasta kolonią letnią dla słabowitych dzieci, gdzie wysłała kosztem własnym dziecięciem robotników fabrycznych.

— Zmarła Józefa z Wywiórskich Gerlachowa zapisała na rzecz kościołów warszawskich: 18.000 rs. a to: na kościół Ś-go Aleksandra 5.000 rs., na kościół Wszystkich Świętych na Grzybowie 5.000 rs., na kościół na Pradze 8.000 rs.

— W gronie dobroczynnych pań warszawskich powstał zamiar założenia biura agentury przemysłowej, z celem dostarczania pracy i zarobku kobietom, które znalazłyby tu zajęcie.

— P. Agnieszka Jabrzykowska, przełożona szkoły dziewcząt na Podgórzu pod Krakowem, obchodziła pięćdziesiątą rocznicę zawodowej swej pracy. Przed dziesięciu laty pani ta w uznaniu jej zasług jej pedagogicznych otrzymała od rady miejskiej Podgórza obywatelstwo honorowe. Zaszczyt to bardzo rzadko dostają się kobiecie.

— Mieszkanka Kreuzberga na Górnym Szluzku, Berta Gawantka, otrzymała medal za uratowanie tonącej dziewczyny. Trzeba dodać, że jest to nie młoda już i słabowita kobieta nieumiejąca pływać.

— Senat uniwersytetu berlińskiego, pragnąc zbadać opinią w kwestyi dopuszczenia kobiet do studiów uniwersyteckich, wystosował kwestyonaryusz do poszczególnych wydziałów z zapytaniem o zdanie w tym przedmiocie. Wydział teologiczny odpowiedział, że jakkolwiek sprawa ta nie ma dlań znaczenia praktycznego, jest jednak przeciwny w zasadzie tej innowacji. Wydział prawny dał odpowiedź wymijającą, że potrzebuje zastanowić się nad tą ważną sprawą. Wydział lekarski też odpowiedź swoją odroczył, wątpić przecież można, aby odpowiedź jego była przychylną dla studiów kobiecych, jakkolwiek znajdują się tu już od lat kilku wolne słuchaczki. Obecnie za zezwoleniem rektora uczęszcza jedna kobieta na wydział matematyczny. Opinia publiczna jest silnie przeciwną uniwersyteckim studiom kobiety, dowodząc, że następnie kobieta usiłuje zajmować miejsca pracy męskiej, co wprowadza zamieszanie w stosunkach. Kobieta cierpi na tem niemniej, niż mężczyzna.

— Ludwika Koppe, z urodzenia Alzatka, wniosła w Paryżu zakład wielce dobroczynny: *Maison maternelle*, gdzie znajdują doraźne schronienie dzieci robotników, oficyalistów, chorych lub dotkniętych brakiem pracy. Dziecko takie przyjętem zostaje w czasie, gdy szkółki i ochrony miejskie są zamknięte, i znajduje tu oprócz schronienia w warunkach moralnie najlepszych, pożywienie i nocleg, a wrazie potrzeby i odzież posyłana jest co rano do szkółki, czy ochrony. Zakład posiada 52 łóżeczka i tyleż dzieci przyjmować może, niekiedy przecież, zwłaszcza w czasie przeszłej zimy, przytulał ich liczbę większą.

— Akt wdzięczności uczennice dla nauczycielki spełnił się w Paryżu. Na ementarzu Montparnasse wniesiony został na mogile Maryi Nancy Fleury pomnik, na którym wyryto ten wyraz wdzięczności uczennice, obok obrazu zasług zmarłej, której życie przechodziło próby ciężkie. Rodem z Alzacy, córka rodziny zamożnej i szanowanej, jak tego dowodził fakt, że ojciec jej, ziemianin, był wybierany wielokrotnie na posła do parlamentu, zmuszona przez wypadki do opuszczenia stron rodzinnych, zmuszona do pracy na chleb, umiała znieść zmianę losu z godnością i zyskać sobie uznanie ogółu. Do zasług zaliczonym zostało w mowie pogrzebo-



wej i to, że nie zerwała nigdy związku z prowincją rodzinną. Nie zaniedbywała corocznie przysyłać tam dzieciom ubogim kolendy w książkach pożytecznej treści.

— Najstarsza wiekiem nauczycielka francuzka, Wirginia Mauvais, urodzona d. 3 Sierpnia 1797 r., a według ówczesnej rachuby czasu: 16 Thermidora, roku V, odeszła na odpočynek wiekuisty. Zajmowała się pracą nauczycielską aż do 1852 r., przytem pisała wiele w zakresie wychowania i nauczania, a dzieła te musiały być w swoim czasie poczytne, bo w chwili, gdy wycofała z zawodu nauczycielki, posiadała 500.000 franków majątku. Na dwa lata przed śmiercią obdarowała miasto swoje rodzinne znaczną częścią posiadanego majątku, dała gminie miejskiej 400.000 fr. na wzniesienie szpitala, ograniczając się sama do bardzo skromnego bytu. Ostatnią wolą swoją zastrzegła sobie, aby ją wywiózł na cmentarz bardzo skromny karawan, zaprzężony we dwa konie; aby trumny nie pokrytą żadnym całunem, zdobyła trójkolorowa wstęga o barwach Francji, ze złożonym na niej wieńcem laurowym, na pamiątkę, że przez całe życie swoje walczyła z ciemnotą, niosąc światło wiedzy dzieciom francuzkim. Zażądała też, aby na pogrzeb jej zaproszono 200 ubogich ludzi i dano każdemu z nich po 2 franki.

— Królowa Małgorzata włoska przyjęła patronat szkoły gotowania, założonej świeżo w Rzymie przez signorę Amalią Prandi Ribighini. Szkoła nie posiada żadnych kapitałów zapasowych i utrzymanie jej polega na dochodzie z obiadów rozsyłanych na miasto, oraz z obiadów spożywanych w zakładzie, głównie przez nauczycielki dające lekcje na godziny. Stołuje się również na miejscu wiele panien z magazynów i tym podobnych robotnic, obiady są też droższe i tańsze, nie przez różnicę w jakości potraw, ale w ich liczbie.

— Bardzo znaczna liczba młodych Angielek zapisała się do Towarzystwa Misyonarzy, lecz misyjne ich prace nie będą pociągały ich w dalekie zamorskie krainy. Większa ich część pozostaje w kraju i są misyonarkami moralności, pracy, dobrego, chrześcijańskiego życia rodzin, dobrego, chrześcijańskiego wychowania dzieci. Zadaniem ich jest czuwać nad rodzinami zagrożenymi jakimś wpływem niemoralnym, nad rodzinami, gdzie jest brak matki. Młode dziewczęta idące w życie o własnej sile, zwłaszcza w miastach większych, znajdować będą w tych misyonarkach pomoc w potrzebie i podpórę moralną. Utrzymanie w tych duszach młodych pobożności należy do zadań misyjnych. Gładstone żyćzliwy jest bardzo Towarzystwu, wspiera je radą i pomocą pieniężną.

— W Danii młoda panna, Sofit Lauridsen, zdała pomyślnie egzamin z gospodarstwa męskiego w agronomicznym kolegium w Kopenhadze.

— Sara Bernhardt zamierza urządzić w bieżącym roku, w sezonie zimowym, wystawę rzeźb w Londynie i zwróciła się do osób, w których posiadaniu znajdują się dzieła jej dłuta, aby pozwoliły jej zebrać je i wystawić tu, a następnie w Chicago.

## Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą o podniesieniu przez ministerium spraw wewnętrznych zamiarze wydania przepisu, mocą którego osoby skupujące od właścian zboże w ziarnie, w snopach, lub na pniu po cenach niskich w celu spekulacyj-

nego wyzysku podlegać mają karze więzienia od 1-go do 6-ciu miesięcy.

— Według dzienników petersburskich podatek państwowy od dochodu wniesiony będzie na jesienne radę państwa. Podatek ten ściągany będzie od osób, które mają przynajmniej 1.000 rs. rocznego dochodu.

— Budujący się z polecenia władzy przy warszawskiej komorze celnej oddział herbaciany ma być wykończony w d. 10 b. m. o tyle, aby banderolowanie herbaty w Warszawie mogło się rozpocząć z d. 15 b. m.

— Wystawa kucharska, połączona z wystawą gospodarstwa domowego, na wzór urządzoną już w mieście naszym przed siedmiu laty, ma być otwarta w Lutym lub Marcu roku przyszłego. Komitet zawiązany w tym celu już opracowuje program konkursów i oznaczy wkrótce termin, oraz odpowiednie dla wystawy miejsce. Ułożono już listę osób, które będą zaproszone do komitetu, co nastąpi w d. 2-go Września, to jest w czasie, gdy osoby używające letnich wycieczek popowracają do Warszawy.

— Redakcja *Kuryera Warszawskiego* ogłasza, w jaki sposób wykonanym zostanie zamiar wzbogacenia repertoaru sceny warszawskiej przez sztuki nadesłane na konkurs dramatyczny, urządzony przez tę redakcję. Sztuki zalecone do grania będą wystawiane w miarę przygotowania ich dla sceny bez żadnego szczególnego względu. Każda z tych sztuk będzie wystawiana pięć razy przez pięć wieczorów, idących po sobie, przyczem dla każdej sztuki zostawiony będzie czas dwutygodniowy, aby artyści mogli się należycie do jej wystawienia przygotować. Za każdą sztukę, wystawioną na scenie, dyrekcja teatru wypłaci autorowi zwykłe honorarium 100 rs. Niezależnie od tego autorowie dwóch sztuk mających największe powodzenie kassowe w przeciągu pięciu pierwszych przedstawień otrzymają od dyrekcji 5% od dochodu brutto. Sztuki staną się własnością dyrekcji teatru; wypłata honorarium sztuk nienagrodzonych uskutecznią będzie z chwilą, gdy nazwiska autorów zostaną zakomunikowane dyrekcji. Autorowie nieżyczący sobie konkursowego wystawienia sztuk na scenie, powinni wnieść zastrzeżenie w ciągu dwóch tygodni.

— Z powodu sześćsetletniej rocznicy złożenia do grobu błogosławionej Kingi królowej, obchodzonej w Starym Sączu, właścianie okoliczni postanowili za inicjatywą jednego z nich, Stanisława Potoczka, utworzyć zakład wychowawczy dla dziewcząt wiejskich. Zakład ten istnieć mający na wsi pod opieką sióstr miłosierdzia, kształciłby w porze zimowej, gdy prace w polu ustają, uczennice swoje do prac gospodarstwa domowego ze względem przemysłowym, oraz dawałby im kierunek pojęć moralny, wspomagający oświecenie umysłu, otrzymywane w szkółce gminnej. Zawiązał się też zaraz komitet wykonawczy, któryby wprowadził jaknajrychlej myśl pocziw w czyn. Na przewodniczącego komitetu wybrano Tomasza Ciągło, wójta z Podegrodzia, na członków Józefa Maciaszka, wójta z Opalany i Szymona Dułkę, wójta z Mordarki.

— W Zakopanem zaczął wychodzić dziennik miejscowy: „Kuryer Zakopański“. Pierwszy jego numer wyszedł d. 22 p. m., mieszcząc na wstępie powitanie znanego miastu naszemu literata czeskiego, Edwarda Jelinka, który właśnie Zakopane odwiedził. Przyjmowano go tam bardzo serdecznie i wręczono mu powitalny adres z ozdobną winietą, wykonaną przez Walerego Eliasza. Dołączono do niego szkatułkę z miejscowego świerku, ozdobnie rzeźbioną przez miejscowych snycerzy góralskich. W szkatułce mieścił się jeszcze zbiór widoków Tatr, wydanych przez Towarzystwo Ta-

trzańskie, heliografirowanych. Szkatulka ta, formy góralskiej skrzynki, z ornamentacją czysto rodzimego, góralskiego stylu, mieści na wierzchu zamknięty pod szkłem bukietik tatrzańskich kwiatków. Rysunek na szkatułkę i jej ozdoby dał Walery Eliaz, czerpiąc wyłącznie z motywów ludowych.

— „Kuryer Zakopański“ donosi, że przybyć tam mają w połowie bieżącego miesiąca goście z Pragi, osób 50. Organizuje tę wycieczkę „klub czeskich turystów“; goście znad Wełtawy zwiedzają najpierw Kraków i kopalnię soli w Wieliczce, zamierzają też udać się do Doliny Kościeliskiej oraz do Morskiego Oka, gdzie umieszczą pamiątkową tablicę bytności tu swojej.

— Na Szlaku, w mieście Lwiewie, nad rzeką Bobrową, odbyło się bardzo uroczyste dwudziestopięcioletnie stowarzyszenia czeladzi miejscowej, w czem brało udział i obywatelstwo miejskie. Przybyło też wiele obywatelstwa ziemskiego i delegaci ośmiu takichże stowarzyszeń na Szlaku. Miasto było przy strojone flagami i wieńcami zieleni, w kościele odprawiono uroczyste nabożeństwo.

— W Bielinie w Czechach zawałił się w kopalniach miejscowych jeden z szybów i zasypał ośmiu robotników. Trzech z pomiędzy nich zdołało się wydostać zaraz jakoś odrazu; dwóch wydobyto po 34 godzinach nieustającej pracy w tym celu; trzech zostali pod ziemią, wśród obszernej przestrzeni, odejści od wyjścia. Ratunek rozpoczął się natychmiast i był prowadzony energicznie, przecież postęp jego musiał być powolny z powodu bardzo grubych warstw gliny i piasku, które trzeba było przebić kopiącym. Trwało to dni i nocy siedmnaście, przecież skutek okazał się bardzo szczęśliwym, bo wszyscy z trzech nieszczęśliwych żyli jeszcze. Jednym ich posiłkiem była woda, której mieli tam dosyć, i dochodziło ich pod dostatkiem powietrze; z początku chcieli się wydostać z podziemia, torując sobie drogę rękami przez zaspy piaszczyste i przebyli tak 26 metrów przestrzeni, ale wycieńczeni tą mozolną pracą i głodem, musieli zaniechać tego środka ratunku. Z głodu żuli kapciuchy od tytoniu i cybuchy fajek, przez cały czas nie mogąc zamknąć oczu ani na chwilę; dwóch wpadło w bezsilną niemoc i zwątpienie, trzeci, energiczniejszy, czy silniejszy, ratował towarzyszy, przynosząc im wodę, ale już tylko czołgając się na czworakach, przyczem nieraz kaleczył sobie ręce o kamienie i opadał z sił. Aż raz, wlokąc się tak ostatnim już wysiłkiem, ujrzał światło przez wykopany otwór i zaczął wołać o pomoc, lecz był tak zmienionym i przerażającym w pełzaniu swoim, że górnicy przybywający z ratunkiem wyobrazili sobie, iż to jest zły duch tych podziemi i już uciekać chcieli. Zatrzymał ich przewodniczący i we dwie godziny wszyscy trzech zostali wydobyć z podziemia; do domów trzeba ich było odnieść na noszach, gdzie zaraz zapadli w sen twardy, który trwał trzy godziny. Obudziwszy się, żądali jeść i fajki, ale lekarz zabronił, dawano im tylko bulion, dobre wino, herbatę i koniak. Wszyscy są bardzo wynędzniali i ledwie mówią, a raczej szepeją, przecież siły wracają im i lekarz ręczy za ocalenie. W Bielinie odbyła się msza składkowa górników na intencję ich powrotu do zdrowia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się: Arkusz 11 powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość**, przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego.

**TREŚĆ:** Pogawędka, przez Quisa.—Krzysztof Kolumb (dalszy ciąg).—Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—Korespondencya zagraniczna.—„Czterystu“ Życie towarzyskie w New-Yorku (dokończenie).—Kronika działalności kobiecej.—Z bieżącej chwili.

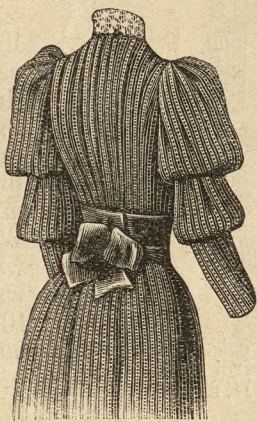
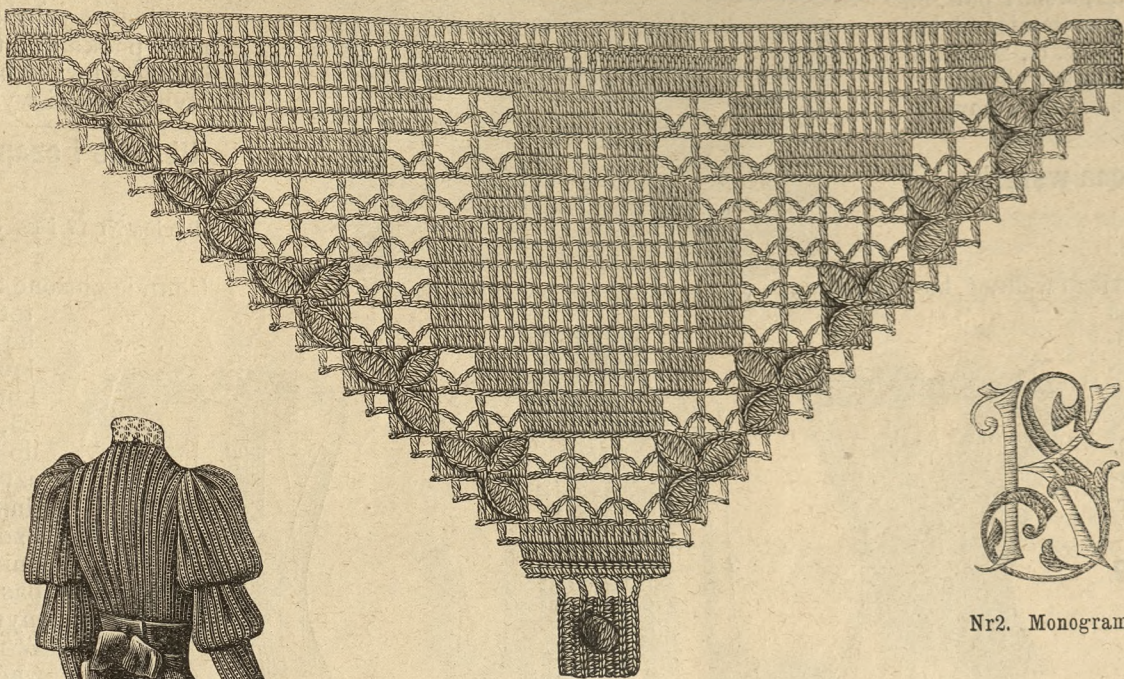
**Dodatek obejmuje:** Arkusz 11-ty powieści pod tytułem **Złudzenie i rzeczywistość** przez Beatrycę Whitby. Przekład z angielskiego. Przegląd mód. 45 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycja stołu.



Serwetka (robota szydełkowa).

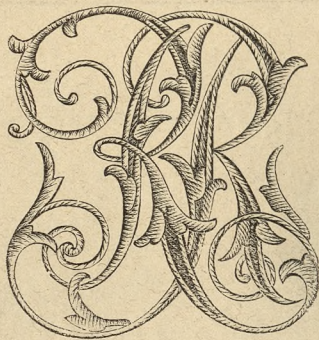
Rycina Nr 1 i 4.

Serwetka, której ryc. Nr 1 przedstawia część oryginalnej wielkości, wykonana jest cienką krętą bawełną koloru „crème”. Rozpocząć od środka na założeniu 10 ocz. i wykonywać robotę tam i napowrót. — 1 kolej: o. opuszc. \* 9 ścis. o. w następ. 9 o., 1 pow. o., od \* jeszcze 6 razy powtórzyć, ale w 4 powtórzeniu po przerob. 5 ścis. o. na muszkę wykonać 7 podwójn. słup., których górne żyłki razem przer. w wolną żyłkę 5-o ścis. o. 1-o powtórzenia. Następnie kwadrat. — 2 kolej: 6 pow. o., \* 1 podw. słup. w następ. ścis. ocz. następ. żeberko; 2 razy naprzemian; 1 pow. o., 1 podw. sł. w następ. żeberko, potem 2 pow. o., 2 słup. przedziel. 5 pow. o. w następ. o. katowe, 2 pow. ocz., od \* 3 razy powtórzyć, ale w 1 i 3 pow. podwój. słup. ciągle w 2 z rzędu o. przerob., następnie zamiaszt podw. 2 sł. przed. 5 pow. o. i 2 pow. o. tylko 1 podw. sł., 5 pow. o. i 1 śc. łań. o. w 4 o. pierwszych 6 pow. o. — 3 kolej: robotę odwróć. i powracając na o. poprzed. kolei ciągle 1 ścis. o. w każde o., ale w środkowe z 5 pow. o. 3 ścis. o.,

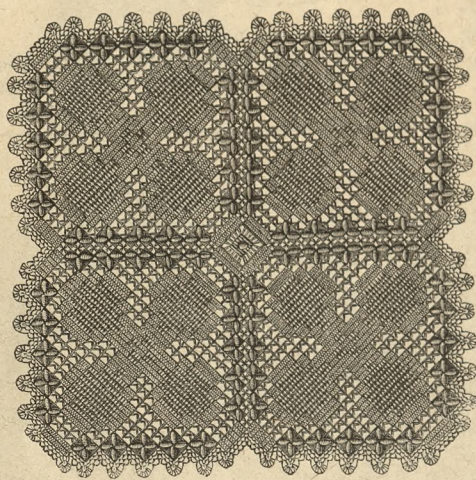


Nr 3. Tylina część sukni Nr 7.

Nr 1. Część roboty szydełkowej do serwetki Nr 4 (wielkość oryginalna).



Nr 5. Monogram



Nr 4. Serwetka, wykonana szydełkiem (do ryc. Nr 1).

nakoniec 4 ścis. łańc. o. w następ. 4 o. — 4 kolej: Robotę odwr. 3 pow. o., \* 18 słup. w następ. 18 ocz. 5 pow. o., 1 sł. w to samo o., w którym przerob. ostat. słup., od \* powtórzyć 3 razy, a w końcu zamiast 1 sł. tylko 1 ścis. łań. o. w 3 ocz. z pierwszych 3 pow. ocz. — 5 kolej: z uwzględnieniem ryc. Nr 1 i 4, tak jak kolej poprzed., nakoniec nitkę przyczepić do środka. ocz. z ostat. 5 pow. ocz. i przerobić razem w następ. kolei. To umocowanie nitki powtarza się w każdej kolei nieparzystej liczby. — 6 kolej: 3 pow. o., \* 6 sł. w następ. 6 o., wzory tła, na każdy z tychże 3 pow. o., 1 ścis. o. w 3 z rzędu ocz., 3 pow. o., 1 sł. w 3 nast. o., potem 6 sł. w nast. 6 o., 5 pow. o., 1 sł. w to samo ocz., w którym wykonano ostat. słup., od \* 3 razy powtórzyć, nakoniec zamiast sł. tylko 1 ścis. łań. o. w 3 o. z pierw. 3 pow. ocz. — 7 kolej: jak poprzed. — 8 kolej: 3 pow. o. \* 5 sł. w następ. 5 o., potem 2 pow. o., 1 ścis. łań. o. w następ. o. Na figurę „en relief” złożoną z 3 listków 3 ra-

zy naprzemian: 7 pow. o. i 1 ścis. o., 4 sł., 1 ścis. o. w 6 o. do 1 z tychże, ale dla wykonania 2 listka ostatnie z 7 pow. o. podług ryc. przyczepić do odpowiedniego o. 6-ej kolei, potem 1 ścis. o. w ostatnie śc. o., 1 pow. o., 1 ścis. o. w 1 z poprzed. 2 pow. o., 6 sł. w następ. 6 o., 3 wzory tła, potem 12 sł. w następ. 12 o., ale po 5 sł. wykonać figurę liściową jak poprzednio, potem 5 pow. o. 1 sł. w to samo o., w którym przerob. ostatni sł., od \* 3 razy powtórzyć, nakoniec zamiast sł. tylko 1 ścis. łań. o. w 3 o. z pierwszych 3 pow. o. — 9 kolej jak 7-a, ale przy tem koronkę przyczepić do 1 i 3 listka podług ryc. Stosownie do ryc. Nr 1 wykonać 25 kolei i zakończyć w ten sposób 4-tą część serwetki, a uwzględniając ryc. Nr 4 wykonać jeszcze 3 koleje (aż do połowy figury) tam i napowrót, poczem jeszcze 25 kolei, a przy zakończeniu każdej albo 3 pow. ocz. na 1 słup., albo gdzie się zmniejsza liczba o. ciągle łań. o. w odpowiednie o., dalej zamiast trójlistkowej fig. ciągle w 3 z rzędu kolei wykonywać cztero-listkowe fig. Następnie wykonać brzeg zewnętrzny otaczający koronkę. — 1 kolej: ciągle naprzemian: 1 ścis. o. w następ. sł., 3 pow. o., stosowny odstęp a w rogu 2 ści. o. przed. 4 pow. o. w tamże znajdujące się o. a w zagłębieniu wykonywać



Nr 2. Monogram



Nr 6. Suknia z fularu i repsu jedwabnego ozdobiona gipiurą. (Opis w Bl. Nr 30).

Nr 7. Suknia z materiału krepowanego (do ryc. Nr 3). Opis w Bl. Nr 30.



Nr 8. Suknia z fularu ozdobiona wstążką (do ryc. Nr 43).



ciągłe tylko 2 pow. ocz.—2 kolej, jak poprzednia, ale ciągłe w 4 pow. o. przedzielające 2 śc. o., 2 śc. o. przedzielone 4 pow. o., śc. o., potem 7 pow. o., trzecie ostatnie ocz. przyczepić do ostatniego łuku, 5 śc. o. przedziel. 4 pow. o. w 7 pow. o., 2 pow. o. i 1 śc. o. w nast. łuk. — 3 kolej: stosownie do ryc. ciągłe naprzemian: 1 śc. o. w nast. łuk, 4 pow. o., w zagłębieniu opuścić 2 pow. o.

### Suknia fularowa ozdobiona wstążką i koronką.

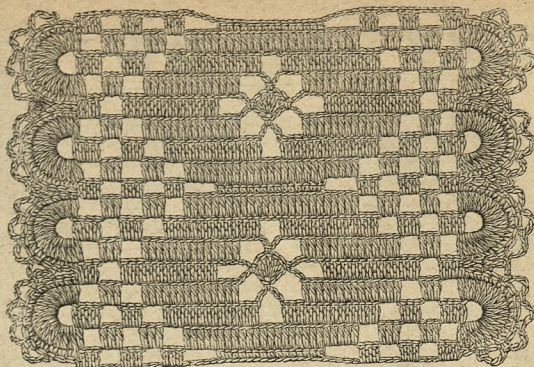
Rycina Nr 8 i 14.

Suknia z fularu koloru niebieskiego w deseń, kołotu „crème.“ Dolna część ubrana 3-ma falbankami podług ryc., spódnica cała podszyta alpaga, a muslinem na 30 c. wys. Stanik przybrany wstążką niebieską atlasową 9 c. szer., tworzącą kokardę w tylnej części. Stanik w rodzaju bluzki przybrany gipiurą podług ryc. Rękawy z podwójną buffą.

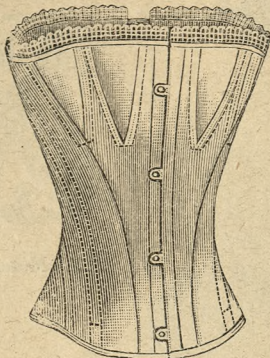
### Gorset dla panienki od 7—9 lat.

Rycina Nr 11. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 73—76).

Gorset zapinany na guziki i pętelki ze sznurka. Skrajać z drylisku fig. 73—76 po dwie części, przypuszczając materiału na szwy.



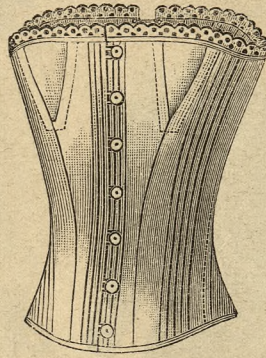
Nr 9. Część karczka do fartuszka Nr 15 (wielkość oryginy).



Nr 10. Gorset dla panienki od 10—12 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VIII, fig. 28—32).



Nr 12. Koszula nocna dla panienki od 9—11 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—20).



Nr 11. Gorset dla panienki od 7—9 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr XVII, fig. 73—76).

Wszycie kliny górne podług cyfr i wykonać w przednich częściach wskazane fałdy, trafiając w dwukropek, po przyszyciu podług cyfr klów biodrowych, zeszyć części od 68 do 69, wykonać podkład z tasiemki na wszycie sznurków i fiszbinów i występnować z uwzględnieniem ryciny. W tylnej części wykonać dziurki do sznurowania.

### Ubranie i czapeczka dla chłopczyka od 4—6 lat.

Rycina Nr 17 i 18. (Krój odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 52—62).

Ubranie złożone z majtek, bluzy i żakietu, z materiału wełnianego w drobną kratkę koloru jasno-popielatego. Skrajać fig. 52 i 53 po dwie części, wykonać szew od 21 do 22, od 23 do 24, od 25 do 26, następnie od 26 do 27 i od 26 do 28. Kieszonkę przyszyć od 22 do 23; do lewego przedniego brzegu przyszyć listwę z dziurkami a do prawego odpowiednią z guzikami wszyć majtki w pasek z dziurkami do przytrzymywania bluzy za pomocą guzika. W miejscu oznaczonym \* umocować pentlicę 7 c. dług. do przesuwania skórzanego żółtego paska. Bluzę skrajać z białego szewiotu podług fig. 54 dwie części. Fig. 56 i 57 po jednej złożonej wzdłuż



Nr 13 i 14. Suknia i kapelusze dla panienki od 5—7 lat (do ryc. Nr 11 w Bl. Nr 30).

Nr 15 Fartuszek z karczkiem wykonanym szydełkiem dla panienki od 2—4 lat (do ryc. Nr 9). Krój pierw. str. tabl. Nr IX, fig. 33 i 34.  
Nr 16 Suknia dla panienki od 14—16 lat. (Opis w Bl. Nr 30).

Nr 17 i 18 Ubranie i czapeczka dla chłopczyka od 4—6 lat (do ryc. Nr 8 w Bl. Nr 30). Krój odwr. str. tabl. Nr XIV, fig. 52—62).

Nr 19 i 20. Suknia i kapelusze dla panienki od 10—12 lat (do ryc. Nr 38). Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 11—16. (Opis w Bl. Nr 30).

Nr 21 i 22. Fartuszek i kapelusze dla panienki od 7—9 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XXI, fig. 83—86).



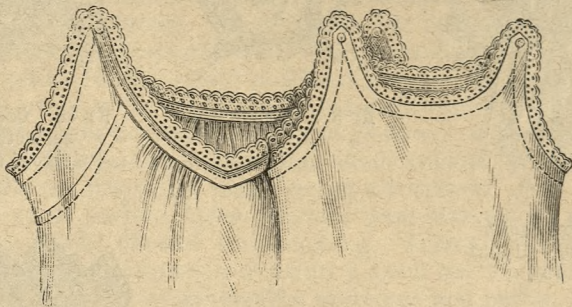
środku a podług fig. 58 rękawy z uwzględnieniem wystających konturów. Po ułożeniu w przednich częściach fałd, mocując  $\dagger$  na kropce, wykonać wycięcie szyi aż do miejsca oznaczonego cyfrą 34; zeszyć plecy i przednie części, zmarszczyć pomiędzy liniami od \* do \* i wszyć w pasek 2 c. szer., 68 c. dł., zaopatrzony w guziki. W lewej przedniej części wykonać nacięcie i wszyć kieszonkę z klapką fig. 55. Do lewej przedniej części bluzy przyszyć listwę z dziurkami a prawy brzeg zaopatrzyć w odpowiednie guziki. Wszyć kołnierzyk, zeszyć rękawy, zmarszczyć od \* do \* i wszyć w mankiety 22 c. dług. a 6 c. szer. Żakiet skrajać podług fig. 59 dwie części; fig. 60 i 61 jedną część; fig. 62 dwie części złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem wystających konturów. Plecy i przednie części zaopatrzyć podszewką, pozszywać podług cyfr, a przednią część zaopatrzyć podkładem i materiałem w górze na 8 c. a w dole na 5 cent. Kołnierz przyszyć od 41 do 42 i wyłożyć takowy wzdłuż linii zgięcia. Rękawy zeszyć, przybrać guzikami, wszyć w żakiet, a w miejscu oznaczonym \* przyszyć rygiel z materiału podwój. złożon. 11 c. dł.

Czapeczka wykonana z białego wełnianego materiału, zaopatrzona podszewką i podkładem, otoczona pasem z żółtej skóry 6 c. szer.

### Suknia z muślinu wełnianego ozdobiona koronką.

Rycina Nr 35.

Suknia formą „princesse” z muślinu wełnianego białego w niebieskie paski. Dolna część wycinana



Nr 23 Koszula dla panienki od 12—14 lat. Nr 24. Koszula dla panienki od 5—7 lat.  
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr VI i VII, fig. 25—27).

w spiczaste na 20 c. wysok. klapki, wśród których wygarniowanie z koronki. Stanik przybrany podług ryc. napierśnikiem z koronki, podłożonym niebieskim materiałem i otoczony szeroką koronką, zwężaną ku dołowi.

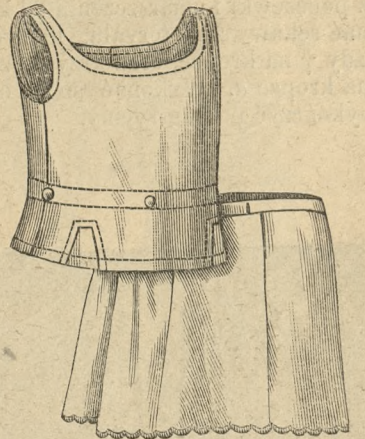
### Suknia podróżna z kamizelką i paltotem.

Rycina Nr 44. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—10).

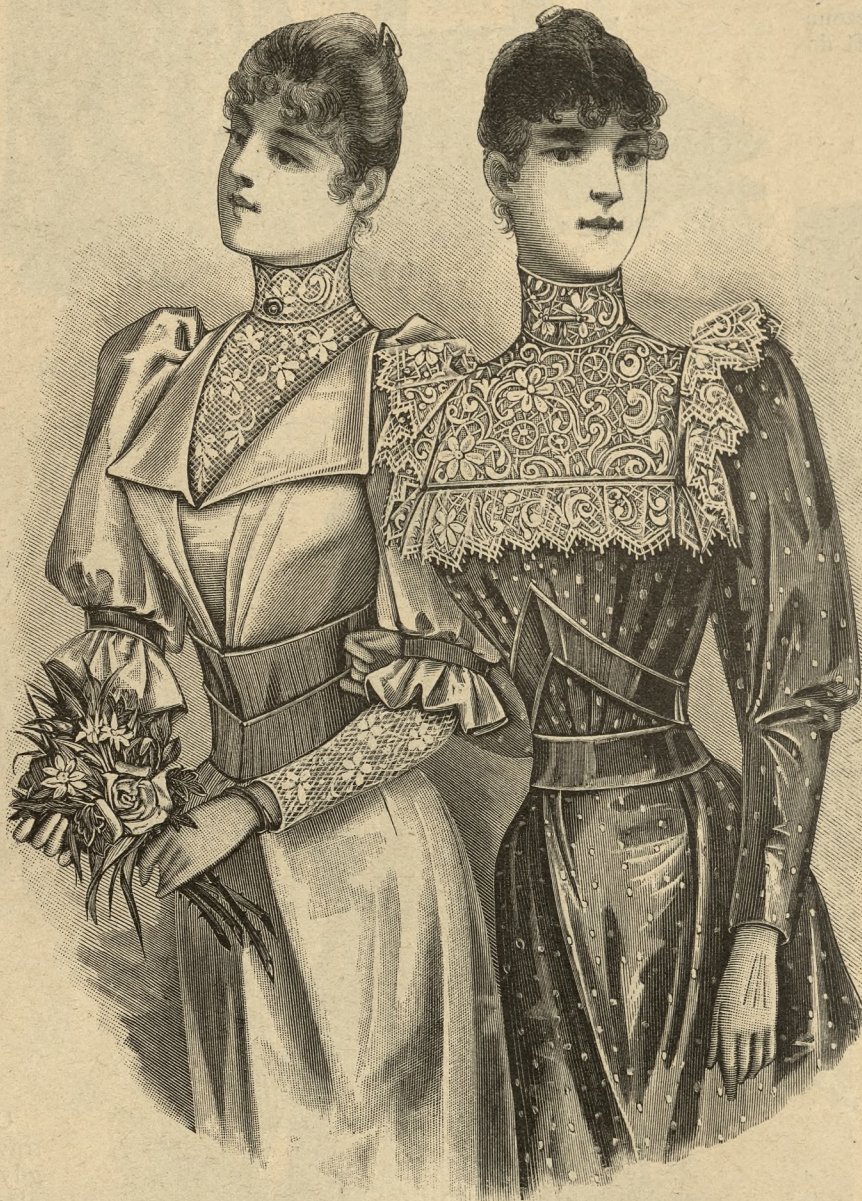
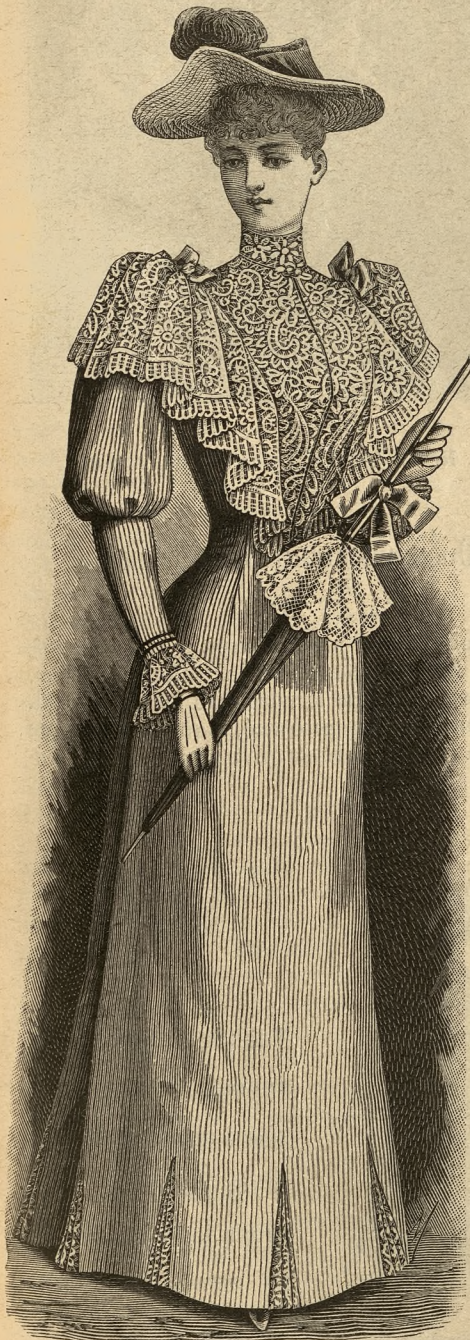
Suknia z materiału wełnianego koloru popielatego w jasne i ciemne pasy, złożona z spódnicy, z takiegoż paltotu i z kamizelki z materiału gładkiego. Skrajać z materiału w paski i z podszewki alpagowej Fig. 1 jedną część złożoną wzdłuż środka. Fig. 2 dwie części, zaopatrzyć takowe na 80 c. wysok. podkładem z muślinu, zeszyć, dolną część obszyć fałbanką 12 cent. szer. Wykonać wskazane fałdy. Kamizelkę skrajać z materiału gładkiego i z jedwabnej podszewki podług fig. 3 dwie części; tylko z podszewki fig. 4 jedną część złożoną wzdłuż środka, wykonać zaszewki a potem nacięcia, w które powszywać kieszonki. Po wykonaniu w plecach



Nr 29. Nočna koszula dla dziecka od 1—3 lat.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XVI, fig. 69—72).

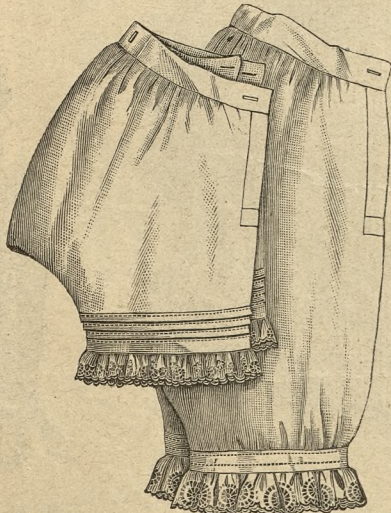


Nr 30 i 31. Staniczek i spódnica dla dziecka od 1—2 lat.  
(Kr. i op. 1-sza str. tabl. Nr X, fig. 35—38).



Nr 32. Suknia z materiału krepowanego przybrana wstążką i koronką.

Nr 33. Suknia z fularu ozdobiona koronką.



Nr 25 i 26. Majtki dla panienki od 4—6 i od 9—11 lat.  
(Krój odwr. str. tabl. Nr XVIII i XIX, fig. 77 i 78).

Nr 27 i 28. Spódnica dla panienki od 2—6 lat.  
(Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV i V, fig. 21—24).



Nr 35. Suknia z muślinu wełnianego ozdobiona koronką.

Nr 34. Suknia dla młodej osoby (façon bébé) do ryc. Nr 2 w Bl. Nr 30. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 41—51).



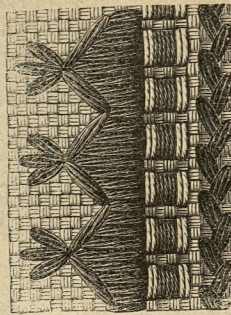
fald i umocowaniu od wcięcia do  $\dagger$  paska ze sprzączką, zeszyć kamizelkę podług cyfr, wykonać dziurki, przyszyć odpowiednie guziki i wszyć kołnierzyk wykonany z podszewki i podkładu podług fig. 5, z przodu obłożony materiałem gładkim a z tyłu w pasy. Pal-tot skrajać z podszewki, podług fig. 6 i 7 po dwie części, podług fig. 8 jedną część złożoną wzdłuż środka, tylko z podszewki fig. 9 z uwzględnieniem konturu spodnich części rękawa. Po zaopatrzeniu przednich części podkładem i wykonaniu małych fald w podszewce, wykonać w fig. 7 szew od 14 do 15; połączyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr; plecy wyłożyć wzdłuż linii zgięcia. Umocować na odwrotnej stronie prawej przedniej części w miejscu oznaczonym \* pasek do zapinania na lewej przedniej części. Po zeszytciu rękawów z podszewki i zmarszczeniu od 20 do 21 wykonać rękawy z materiału, ułożyć w fałdy każdy  $\dagger$  na kropce, oraz krzyże oznaczone lit. *a* na kropce *a*. Wykonać szew od 21 do 24 i wykończyć podług rycin.



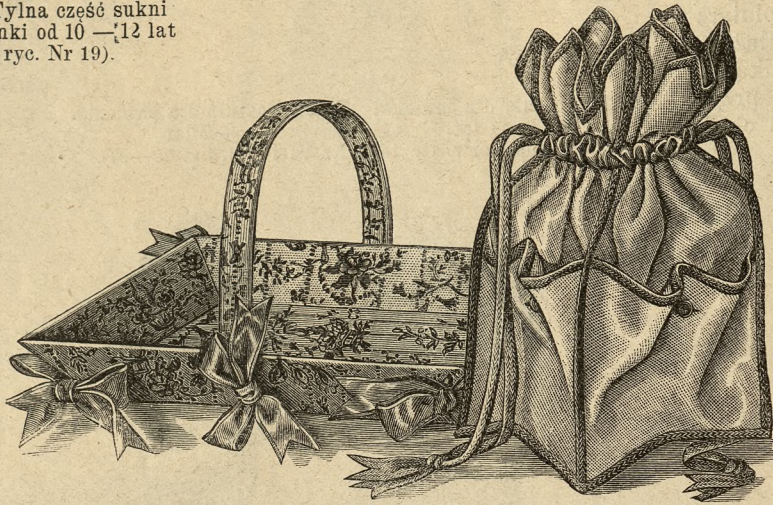
Nr 38. Tylna część sukni dla panienki od 10 — 12 lat (do ryc. Nr 19).



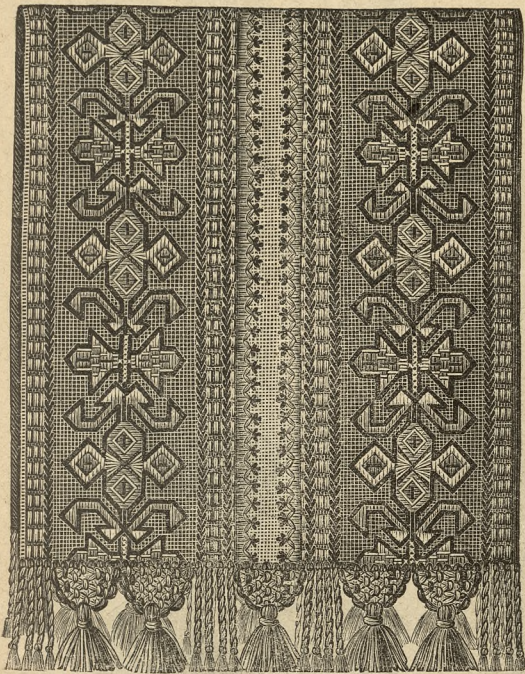
Nr 37. Monogram.



Nr 36. Część haftu do serwetki Nr 41 (wielkość oryginalna).



Nr 39 i 40. Koszyzek i torebka podróżna. (Krój odwr. str. tabl. Nr XX, fig. 79—82 i pierw. str. tabl. Nr XI, fig. 39).

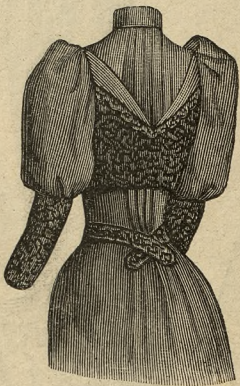


Nr 41. Ścieg płaski, krzyżowy i wiązany (do ryc. Nr 36 i 42).

## Przepisy gospodarskie.

### Groszek zielony w konserwie.

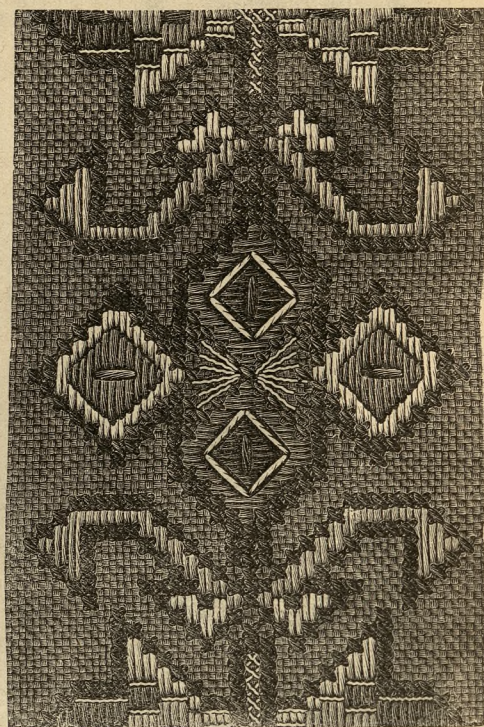
Należy wybierać najmłodsze, najświeższe i zupełnie zielone strączki. W suche zupełnie zielone butelki włożyć po jednej małej i nieobranej cebulce i po gałązce capru, oba te korzenie dają groszkowi pewien miły aromat. Nasypać pełne butelki groszku, utrzęsając go nawet, zatkać watą, co jest najnowszym sposobem i obwiązać pęcherzem rozmoczonym w wodzie; ustawić butelki w kocioł z zimną wodą, wstawić na ogień i gotować od zagotowania najmniej pięćdziesiąt minut a najwyżej godzinę. Po-



Nr 43. Tylna część sukni Nr 8.



Nr 44. Suknia podróżna. (Krój pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1 — 10).



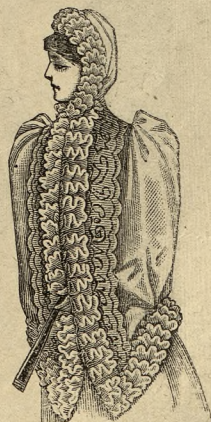
Nr 42. Część haftu do serwetki Nr 41.

### Doświadczenia praktyczne.

Czarnina jest jedyną zupą i w ogóle potrawą, którą się zaprawia miodownikiem, gdyż zaprawiając krwią, nie można jej tak długo jak z mąką gotować, a miodownik nie zawiera już w sobie surowizny.

## Uwaga.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru *Bluszczu*.



Nr 45. Przednia część „sortie de bal” Nr 4 w Bl. Nr 30.